

ADAM SCHMUCK



**Ź PIŃSKA
DO AUGUSTOWA
KAJAKIEM**





Z PIŃSKA DO AUGUSTOWA KAJAKIEM

ADAM SCHMUCK

Z
PIŃSKA DO AUGUSTOWA
KAJAKIEM



1937

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO
KSIĄŻEK SZKOLNYCH
WE LWOWIE

K-86/84

u



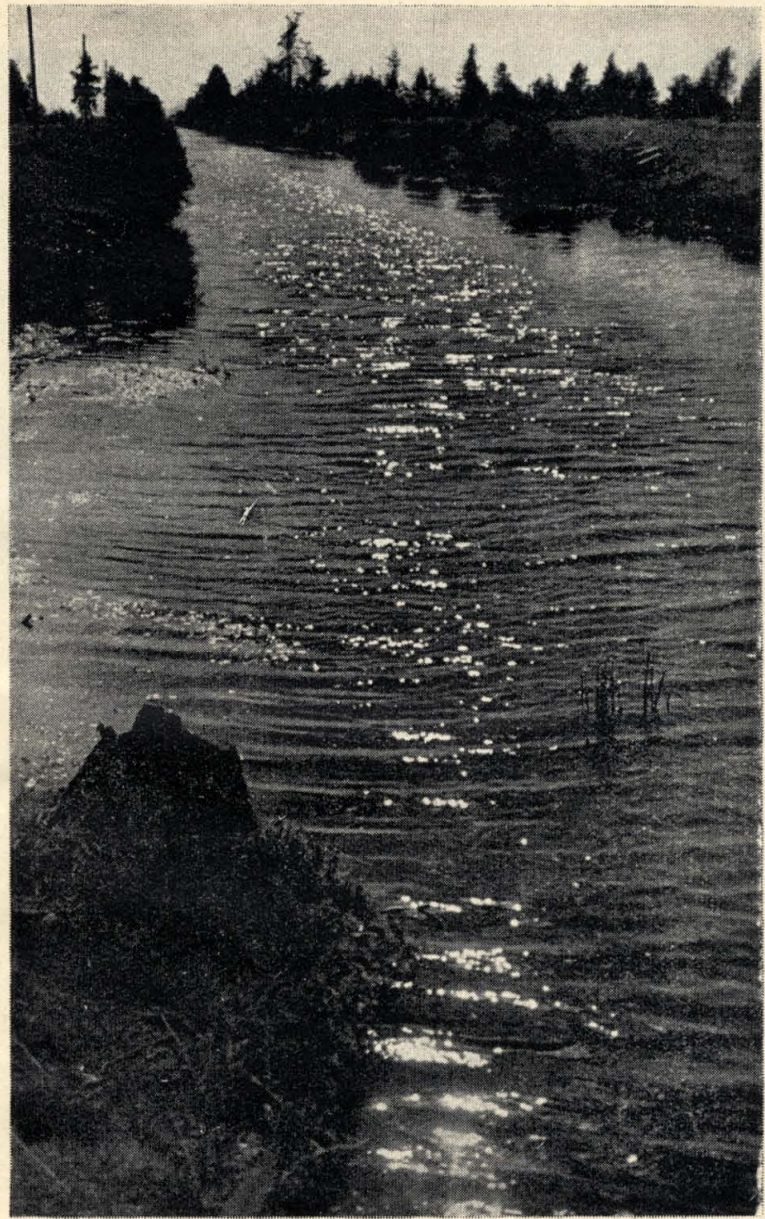
86501



TŁOCZONO
 W DRUKARNI L. WIŚNIEWSKIEGO
 WE LWOWIE POD ZARZĄDEM KLE-
 MENSZA PREIDLA

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
 WACŁAW SIEMIATKOWSKI

ROBOTY INTROLIGATORSKIE
 WYKONAŁ JÓZEF LEGEŻYŃSKI
 WE LWOWIE
 1937



ŻONIE MOJEJ
POŚWIĘCAM



Dwóch ich było.

Spędzali lato wodnych ludzi. A wody nosły posłusznie lechtając mile „Wilka“, który błyskał kokieteryjnie swą białą, świeżo lakierowaną powłoką.

Cieszyli się wolnością jak mali chłopcy. Pławili się w wodzie, słońcu i powietrzu spalając ciała na brąz.

Tarzali się w piaskach plaż przybrzeżnych wciągając w płuca zapach siana, ziół i łąk, żywicy lasów.

Słońce było im zegarem, a wiatr przyjacielem lub wrogiem, zależnie od tego czy w nagi tors walił, czy smagał plecy.

Otoczyły ich bagna, uroczyska. Potem puszcza augustowska wypełniła szumem ich mózgi, a jeziora na falach swych w wymarzony poniosły ich świat...

○ ○ ○

Decyzja wspólnej wycieczki bezwarunkowo była łatwiejsza. Z wyborem trasy szło opornie. Podróż palcem po mapie... Z Prutu na Dźwinę czy Wisłę z szybkością 100 km na sekundę nie było żadną trudnością. Jeden chciał się kąpać w Dunajcu, drugi w Biebrzy i tak bez końca.

— Mam myśl.

— Słucham.

— Polesie, Niemen, jeziora Augustowskie...

Rada w radę dobrnęli do końca, który uważali za równie ważny jak uchwałę Ligi Narodów.

Zadłżyli się na mapy topograficzne całego odcinka w wydaniu Wojskowego Instytutu Geograficznego, na przewodnik Heinricha „Szlaki wodne w Polsce“, na mapę fizyczną Polski, na kompas. Omal nie zrujnowali się na globus.

— Słuchaj, a może by tak pomyśleć o kajaku?

— Rzeczywiście, racja.

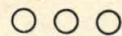
I kajak się znalazł.

Bieganina do Oddziału Ligi Morskiej i Kolonialnej. Pukanie, papiery, podpisy, pieczęcie.

— Owszem, bardzo chętnie służymy.

Jedziemy więc pod znakiem tej instytucji, która zawsze i wszędzie popiera tych, co czują sentyment do wód.

Elegancki, dwuosobowy, odnowiony „Wilk“ czekał na oznaczony termin wyjazdu.



A w międzyczasie jeden czekał na depeszę z Kołomyi. Tłukł się rowerem po żyznych lessach hrubieszowskich do odległego urzędu pocztowego i czekał.

Nie ma depeszy. Więc kłął.

Ferie już mijają. Nie ma!

Zlewy, powódź, katastrofa.

Radio brzęczy „na ratunek powodzianom“, prasa kipi, przepelniona wieściami i fotografiami z frontu z powodzią.

Leje dalej. Bez przerwy.

Ziemia miękka jak gąbka. Błoto, wilgoć.

„Nie jedźcie, rozlały rzeki, pełne...“ Lament.

A słońca nie widać. Ciężkie, czarne, obrzydliwe chmury.

Chyba nie pojedziemy. Codziennie leje, a P. I. M. uparcie przepowiada: „Prawdopodobnie dalsze deszcze...“ aż do znudzenia. Nauczyli się na pamięć, czy co?

Aż jest. Prawdziwa, autentyczna depesza: „30-go spotkanie Pińsk“.

Ulga. Pakowanie na łapu-capu.

Wylała się herbata na bieliznę. Jabłka zmieszały się z ciastkami, chleb i wędlina wpadły do trzewików. To nic. Zamknął się pod presją zwycięskiego kolana pękaty plecak.

Godzina czasu. Pożegnanie.

Trzy kwadransy jazdy do Włodzimierza, potem sześć kwadransów czekania, następnie siedm kwadransów jazdy do Kowla, ale w nagrodę dokonanego czynu stawka podwyższona do pięciu godzin czekania.

Świta. Niesympatyczna perspektywa. Zapłakane szyby okien. Chmurno i dżdżysto. Wilgotne, czerwone mury Brześcia.

Łąki i pastwiska zalane ostatnimi ulewami. Tylko szczyty kopic siana wyzierają miejscami z wody. Tu i ówdzie powstały olbrzymie jeziora łączące się rozlicznymi ramionami. Ludzie smutnie kiwają głowami.

A pociąg gna...

Pińsk. Szkolne schronisko. Chwila wytchnienia.
Woda, mydło, ręcznik, łóżko.
Pukanie. Wtacza się rower, za nim właściciel.
— Z Poznania jestem, harcerz, objeżdżam Polskę ro-
werem.
— A ja kajakiem.
Gadanie przeciąga się do późnej nocy...
Na dworze wciąż leje. Dzwonią rynny płaczące...



PIŃSK. KLASZTOR POJEZUICKI.

Pińsk. Miejsce startu. Miasto o 32.000 mieszkańców, smutne i nad wyraz spokojne. Bo też przeszłość jego niewesola. Pamięta czasy górne i chmurne. Dużo tu śladów dawnej przeszłości i kultury polskiej, jak przebudowany kościół katedralny, który ufundowany został u schyłku XIV w. przez ks. pińskiego Zygmunta Kiejstutowicza, dalej dominujący nad miastem klasztor OO. Jezuitów z XVII w., którego założycielem jest Albrecht Radziwiłł, kanclerz litewski. Klasztor ten spełnił wielkie zadanie oświatowe. Zwiedzamy kościół parafialny z XVII w., pałac Skirmuntów, resztki zamku Wiśniowieckich i pałacu Poniatowskich.

Kto chce zapoznać się u wstępu z przemysłem ludowym poleskim, powinien obejrzeć niedawno założone

Muzeum Poleskie, gdzie znajdzie też zbiór ptactwa wodnego.

Panowanie Rosji carskiej zostawiło wszędzie tylko rzetelne zaniechanie pod każdym względem. Miasto zabudowywane wtedy bez najmniejszego porządku, w dobie obecnej, już pod rządami polskimi, wyrasta powoli, ale według pewnej myśli. Stają nowe lub odnowione budowle, jak dworzec kolejowy, zupełnie nowy most na Pinie, gmach banku, sądu, dalej szkoły i inne. Budynki te stanowią ośrodek murowanego centrum. Pożary często stosunkowo niszczyły i hamowały rozwój tego starego miasta, które stanowi i dziś ośrodek kulturalny i gospodarczy Polesia. Palił się Pińsk w r. 1648 i niedługo potem szwedzki najazd w r. 1706 spalił go znowu. Rok 1905 jest nową datą wielkiego pożaru. Ostatni pożar w r. 1921 zniszczył wielką część miasta tak dalece, że musiało zrezygnować z siedziby województwa, które przeniosło się do Brześcia.

Spokój i smutek przyrody udzielić się musiał mieszkańcom, którzy powoli, z godnością kroczą po ulicach mając dużo czasu.

Względny ruch i życie obserwować można w porcie. Dziesiątki tratw, przybyłych z bogatych lesistych okolic, czeka tu na swą kolejkę. Ale rozbiórka ich odbywa się cicho, spokojnie, z flegmą. Daje się odczuć brak tak charakterystycznych u nas „południowców“ pokrzykiwań, klątw, naglenia. Na wszystko jest czas. Przywiązana tratwa czy barka nie ucieknie, a wody Piny płyną leniwie.

Uwagę naszą zwraca autentyczny węgierski wagon kolejowy. Huczy w nim pompa odświeżająca wodę w basenach dla ryb. To miejsce handlu tym produktem. Bogate w wody Polesie dostarcza oprócz drzewa dużej ilości ryb, które zasilają nawet rynki zagraniczne.

Innym miejscem o względnym ruchu, to rynek. Owoce, jarzyny, pieczywo mieszają się tu z igłami, niemi, żelazem i t. p. Spotkasz spokojnego, obutego w chodaki i obwiązanego pasem Poleszuka, jak z nieludzką wprost obojętnością podpira mały, jednokonny wózek, na którym przywiózł trochę wiejskich produktów. Oparł brodę na drabinie. Patrzy i czeka. Potem ukręci marnego papierosa, pójdzie do sąsiada, równie obojętnego jak on, zapalić i dalej czeka. Nie słyszysz głośnych targów. Odbywają się one niemal na migi. Sprzedawca nie zachęca, wystarczy, że przywiózł.

Szkapina, dobrze zresztą wyglądająca, spokojnie pożera swą porcję, obojętna, jak jej pan, na świat i ludzi.

Kręcą się panie i panusie dokoła straganów, a skrzwawione jatki oblegają marynarze.

Jest wczesna godzina poranna.

Nie zapominamy o porcie marynarki wojennej. Niestety tylko z dala możemy się przypatrywać, gdyż wstęp dla turystów zamknięty. Podziwiamy jednak naszych dzielnych marynarzy, jak w ciężkiej łodzi w szóstkę czy ósemkę w takt uderzają wiosłami mącąc fale spokojnej Piny.

Natężone mięśnie, rozmach w ramionach, pochylone silne karki. Trening poranny.

Kotłuje się zbalwaniona wiosłami woda, a łódź mknie szybko, zręcznie omijając przeszkody.

Odchodzimy z nadbrzeża, gdzie w ciągu kilku chwil zetknęliśmy się oko w oko po raz pierwszy z ludnością Pińska. Miasto pięknie położone u zbiegu Piny i Strumienia, otoczone od południa i połudn.-wschodu bagnami, przypiera do południowego cypla wyspy ujętej ramionami Piny i Jasiołdy.

Wyspa ta to Zahorodzie. Jedyne większe, suchy ob-

szar w sercu Polesia. Toteż najwięcej tu osiadło ludzi, bo i gleba lepsza, na którą składają się gliny przemieszane piaskami, i znośniejsze życie. Wypę przeciął tor kolejowy z Brześcia przez Pińsk do Łunińca i odgązienia na Kamień Koszyrski i Iwacewicze, uzupełniając w ten sposób rzadką w tej krainie sieć połączeń kolejowych.

Kierujemy się ku północnej części miasta, oglądając co krok nowe dla nas osobliwości. Murowane centrum ustępuje na peryferiach całym ulicom o drewnianych domach, z charakterystycznymi ozdobami u okien, zamkniętych na drewniane okiennice.

Zdążamy ku stacji.

Z wielką niecierpliwością i otwartymi ramionami witamy naszego kochanego „Wilk”. Z radością wyszczerzył ku nam swój pysk z ciemnego magazynu i wyciągnął się w całej swej pięciometrowej długości. Dał się we znaki bagażowym swymi 45-ciu kilogramami i usiadł paradnie na jednokonnej „bryce” wiozącej go do przystani, rozglądając się ciekawie po nieznanym mu mieście. Nie budzi jednak sensacji. Mieszkańcy Pińska niejednego już podobnego wilka-krewniaka widzieli w podobnej sytuacji. Okolice te bowiem cierpią chronicznie na plagę najazdów kajakowców.

Za parę chwil „Wilk” przywarował do piasków w przystani cierpliwie czekając, co mu tam jeszcze do środka wpakują. Oto dali mu ogon w postaci steru i umocowali go linkami, do środka cielska wpychając ciepłe okrycie, naczynie, skrzynki, puszki z jadem, jak: ser, owoce, wędliny, jednym słowem, cały dom kajakowców, którzy w ciągu wycieczki muszą liczyć przede wszystkim na siebie. Na samym wierzchu ułożono mapę i przewodnik.



ŁODZIAMI NA TARG W PIŃSKU.

W przystani gromada miłych dzieciaków. W ręce patrzą a pytają, zaglądają, tłumaczą sobie różne niejasności.

— Jedź z nami — powiadam do jednego z nich.

— Do Horodyszcz?

— Nie, dalej.

— Ej, nie, dalby mi ojciec! Ja wiem, co to znaczy — mówił patrząc na napis L. M. i K. Kołomyja. — Pan nauczyciel nam mówił.

- A na co ta mapa? Traficie z wodą.
- A czemu nie macie żagla?
- A na co ta dziura w dziobie? Motoru nie ma? A gdzie ster?

Te i tysiące innych pytań padały z ust chłopców, którym oczy błyszczały i gdyby nie ojciec, na pewno nieje-den zniknąłby z domu.

Wreszcie, ku ogromnej radości małej publiczności, spuszczone „Wilk” na wodę. Uroczysta była to chwila i dla niego i dla nas.

„Wilk”, który prul już fale Prutu i Dniestru, po raz pierwszy w ciągu krótkiego swego żywota znalazł się na poważnej, spokojnej i nieznannej mu wodzie.

My zaś mieliśmy więcej przyczyn, by chwilę tę nazwać uroczystością. Od tego momentu kajak staje się naszym prawdziwym domem, a przy tym jedynym środkiem lokomocji, przy pomocy którego można poznać tę właśnie krainę. Przed nami dwutygodniowa, wymarzona i uplanowana włóczęga na przestrzeni ponad 500 km, przez bagna największe w Europie, ze swą niełatwo skądinąd dostępną do podpatrzenia, a wyjątkową w swoim rodzaju przyrodą, krętą Szczarę, wspaniałą i dumny Niemien, puszcze, przepiękne jeziora Augustowskie...

Oddani tym myślom nie zdajemy sobie nawet sprawy, że oto kajak odbił i lekko znosi nas łagodny prąd.

A chłopcy pokrzykują...

Odurzeni pierwszym wrażeniem poczucia wolności i pierwszym wiatrem niosącym specyficzny zapach wody, omal nie wpadliśmy już po 100 metrach „podróży” na olbrzymią, pękatą barkę stojącą w poprzek naszej drogi.

Uszliśmy tym razem z życiem biorąc to za dobrą prognozę całej eskapady, ale zapatrzonemu w chmury sternikowi dostało się do ucha kilka zjadliwych uwag.

Niebo na razie było łaskawsze, a raczej wiatr, co precz odrzucił czarne zwały chmur i odsłonił słońce. Zaczęło z miejsca bez pardonu prażyć dwóch nagusów, którzy lekko wiosłując w milczeniu przypatrywali się dalszym partiom portu pińskiego, opchanego tratwami po brzegi przerażająco niskie.

Po dwu kwadransach mamy sposobność przyjrzeć się już tylko sylwetce Pińska, pozostałego za nami w cieniu czarnych chmur.

○ ○ ○

Już za Pińkowiczami, w odległości kilku zaledwie kilometrów od Pińska, musimy dobrze studiować mapę i wytrzeszczać ślepią, by nie jechać „kędy nie potra”. Rzeka płynąc leniwie (spadek wynosi około 0,04‰), krąży, rozlewa się, obejmuje swymi ramionami bagniste wyspy, by potem znów połączyć się w szerszym i wyraźniejszym korycie. Dobra nasza, jeżeli po nałożeniu 2—3 km drogi spłyniemy do właściwego koryta. W przeciwnym wypadku...

— Stop — krzyczy nasz bystry obserwator na przodzie — Polesie się skończyło, nie ma drogi!

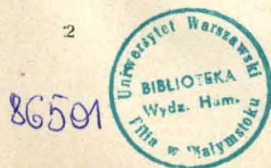
— Jakto nie ma?

— Skoczyła w te szuwały i ślad zaginał.

Rzeczywiście przed nami las szuwarów, z boku drugi las. Istna dżungla. Skończył się „krajobraz”, trzeba zawracać. Ster w lewo, wiosło w prawą! Jazda!

Niezadowolony „Wilk” zanurzywszy mokry pysk w cuchnących błotem szuwarach, odwraca się ze wstętem i co prędzej zmyka skąd przyszedł. Jesteśmy na dobrej drodze po wstępnej nauczce, by ostrożnie wybierać kierunek przy rozwidleniach.

Z prawej strony wyrasta przed nami Horodyszczce





HORODYSZCZE OBLANE WODAMI PINY.

(Grodzisko). Obronna swego czasu wyspa sterczy wśród bagien przy styku Jasioldy z Piną, niewielka, o długości mniej więcej 2,5 km, a 1,5 km szerokości. Mijamy ją i za chwilę tuż przed mostem kolejowym wjeżdżamy na wody Jasioldy.

Most ten żegnamy jako ostatni wyraźny łącznik z Pińskiem.



Jasiolda.

Z miejsca daje się we znaki. Nie dosyć, że chce nas zepchnąć wstecz z prądem, na domiar złego wiatr zachodni, który nas pchał w plecy od Pińska, teraz wieje nam w twarz, gdyż zmieniamy kurs na półn.-zachodni.

Pluje nam wodą w oczy, szumi w uszach chcąc nas zawrócić z drogi. Potrąca czuby szuwarów, które jak

gdyby zaszemrawszy sąsiadowi jakąś ploteczkę pochylają się znowu w przeciwną stronę pragnąc nowej wiadomości. Powstaje gwar, milknie, to znów wzrasta, zwłaszcza, że bezczelne falki coraz częściej chłustają w dziób kajaka.

A „Wilk“ się wściekł.

Prze naprzód, pruje pyskiem fale i stojące mu na drodze rzadkie łodygi, sterem jak ogonem trzepiąc to w tę to w ową stronę, wymijając przeszkody.

Aż zmęczony, mokry przywarł do śmierdzącego skraju puszczy szumiących trzciny i sapał...

Wiatr ustał. Zrobiło się cichutko jak w kościele. Naprzeciw, w małej zatoczce o rudej stojącej wodzie widnieją piękne, białe plamy nenufarów, pochylających się lekko w stronę słabego tu, zatokowego prądu.

Cisza. W uszach dzwoni. Ulga w mięśniach. Wypoczynek. Wspaniała, boski wypoczynek.

Zar.

Nie rozmawiamy. W ciszę można się też wsłuchać...

Nagle dziwne a głośnie hurkotanie w wodzie i oto na jasnym tle nieba zasianego oślepiającymi cumulusami ukazało się nam stado dzikich kaczek.

Odtąd stały się one naszymi towarzyszkami przelatując w mniejszych i większych zespołach nad głowami. Czasem, bywało, biegnie przed kajakiem po wodzie stadko z charakterystycznym hurr, hurr, hurr zlewającym się w jeden głośny hurkot, jak eskadra małych hydroplanów startujących do lotu nad bagiennym morzem.

Czasem wyleci tuż obok z szuwarów i po 50 metrach lotu zapadnie, zniknie i zginie w otaczających cię wodostach.

W locie konkurują z nimi rybitwy, zgrabnie wylawiające rybki. Szybują tuż nad głową i jak orzeł spadają

na śpiącą rybę. Czasem pojawi się szelma jastrzęb a po bagnistym rajku kroczą tu i ówdzie flegmatyczne bocki.

Jesteśmy w centrum królestwa bagien i błot, lasów i trzcin, ptactwa i ryb. Czasem, chociaż rzadko, zjawia się i człowiek. Tylko ubogi rybak w samotnej łodzi zapuszcza się tutaj na skuteczny połów.

Cisza wciąż trwa, a my jeszcze zachwycamy się tym bezmiernym milczeniem przyrody.

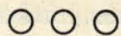
Wtem, jak złowrogi znak panowania człowieka, zadrgało powietrze, zadrgało.

Przed nosem przemknęła odymiona, okopcona duża łódź motorowa kotłując wodę, a tuż za nią statek rzeczny wiozący na swym pokładzie pasażerów do Pińska.

Pochyliły się i zaszemrały uderzone falą trzymetrowe szuwary. Silnie zakolysał się zbudzony „Wilk“.

Nasze marzenia dostały w łeb furkotem, zapachem paliwa, dymem, gwarem ludzi, spienionym grzebieniem fal... Człowiek zwyciężył. Na chwilę.

Jedziemy.



Oslawiona plaga tej krainy to komary i muchy. Pierwsze dają znać o sobie w nocy, drugie w dzień, by sprawiedliwej równości stało się zadość. Ale zapach prowiantów, albo chyba słodka krew zwabia ogromne masy obrzydliwych owadów, od najmniejszych matowo-czarnych do ogromnych, błyszczących w słońcu jak złoto. I jedne, i drugie obsiadają nagie ciało zaspokajając głód i pragnienie. Nie pomagają klapsy wymierzone natrętom. Schwytna i zanurzona w wodzie mucha przez kilka sekund udaje martwą a puszczona z bezczelnością natręta siada na opuszczonym niedawno miejscu i kontynuuje ucztę.

A my dostajemy t. zw. kręćka. Krew zabitych, przełana na naszej skórze, zwabia nowe chmury owadów. Czysta rozpacz. Nawet do nosa włożą, do uszu, do ust przypadkowo otwartych. Nie ma rady, trzeba wdziwiać koszule, a tu tak pięknie, rozkosznie praży słońce.

Komary w nocy okazały się grzeczniejsze, bo grały przynajmniej smętnego capstrzyka do snu wieczorem lub pobudkę poranną. Nie były tak natrętne, a reagowały momentalnie na zapach dymu tytoniowego uciekając jak od bomby gazowej.

Wśród takich i tym podobnych okoliczności błądzimy wśród meandrów Jasiółdy.

Ach te meandry! Żeby to jeden, dziesięć; ale wyjedziesz z jednego, już drugi cię omota, jak pajak zbłąkaną muchę i tak bez końca. Najlepsza mapa nie pomoże, jeżeli psim śwędem nie będziesz pracować.

Oto masz przed sobą trzy ramiona rozwidlające się, podobne do siebie pod każdym względem i szybkością prądu i szerokością zwierciadła. Tylko jedno z nich płynie na Rzym, drugie na Krym; gorzej, bo jedno rozwidła się dalej i gubi w szuwarach, drugie również. Jak w znowie. A wszystkie razem tworzą przekłętą zakręt, na którym widzisz szydzące z ciebie pałki trzcin w odległości 30-tu metrów i więcej nic.

Horyzont miejscami zmniejsza się do rekordowych cyfr — koło o promieniu 20—30 metrów. W takich momentach, aby chwycić dalszy kierunek, pierwszy staje „Wilk“. Potem powoli, by nie wsypać nas w wodę, wstaje mój partner i jeszcze wolniej rozgląda się po świecie.

— Którędy jedziemy? — niecierpliwe pytanie z dołu.

— Nie wiem.

— Co widzisz?

— Wszystko i nic, a właściwie ślup.

Te słupy to zbawienie. Są to drogowskazy dla żeglujących tędy statków. Ale trafić do takiej latarni morskiej, to także sztuka. Bywało, słup od nas o sto metrów, a my płyniemy dokoła jak zahypnotyzowani nie mogąc się do niego dostać.

Zrobiliśmy w międzyczasie ważne doświadczenie. Oto nie wolno korzystać z niedokładnych informacji rybaków o istniejących i im tylko doskonale znanych skrótach.

Taki skrót raz wpakował nas na bagno, z którego ledwie, ledwie mogliśmy się wycofać w porządku, a biedne wilczysko po raz pierwszy skalało sobie biały pysk nie byle jak.

Płyniemy więc takim skrótom a ostro, bo dużo już czasu na błędzeniu zmarnowaliśmy. Wtem z przykrym uczuciem stwierdzamy, że siedzimy na bagnie. Kajakowiec, gdy poczuje pod sobą zbyt płytką wodę, zachowuje się podobnie jak szofer, gdy skończy się równa, gładka taśma szosy a zacznie się miękka, deszczem zrana droga.

— Mocno naprzód! Hop! — Nie idzie.

Biedny kajaczek zarył się mocniej w błocie. Wiosła nie znalazły oparcia w bagnistej, szlamowatej mieliznie. Odpowiedziały im bulgotanie i bańki złowrogie.

— W tył raz! — Nic.

— Dwa! — Drugie nic!

— Przyjdzie nam zginąć bohatersko, jak na wodnych ludzi przystało.

— Wobec tego próbuj wyleźć i podnieść.

— Próbuj sam, wołę dziesięciometrową głębiny, niż te bańki przekłete. Zresztą życie mi jeszcze trochę mile.

— Mnie również.

— Więc co?

— Masz busołę, mapę, masz kajak i wodę, psi węż,

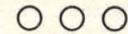
którym się nie wiadomo czemu chwalisz, mówisz o bohaterskiej śmierci, a nie możesz wypłynąć z bagien.

— Bo przywykłem.

Wreszcie spróbowaliśmy jeszcze ostatecznego środka. Chwyciliśmy pełne garście otaczających nas lodów i ciągnąc je wolno, potem coraz silniej zamierzaliśmy ująć zdradzieckiemu podstępowi. Jednak lodowiska rwały się, pękały. Chwytałyśmy coraz dalsze i coraz chciwzszymi dłońmi, aż wreszcie kajak drgnął i zakołysał się po chwili na głębszej nieco wodzie.

Przez moment mieliśmy takie uczucie, jakie mieli zapewne uczestnicy wyprawy polarnej, gdy wyrąbany w lodzie kanał łączący ich z morzem zatarasował krąwściekły ocean.

Przyczyną tej „katastrofy“ było chylące się ku zachodowi słońce, które wlewało nam w oczy całe strugi światła, spotęgowanego odbiciem w wodzie i przeszkadzało w obserwacji. Nie pojedziemy już rybackim skrótom.



Nie zawiódła nas mapa W. I. G.-u sekcja Pińsk.

Wąskim a równym jak strzała kanałem dojeżdżamy do wsi Bojary. Po drodze podziwiamy stadko krów, które odważnie maszerują lub płyną długim łańcuchem przez kanał z niedalekiego pastwiska. Pastuch im nie potrzebny, idą same.

Wspomniane wyżej kanały, to jedyne drogi łączące z rzeką osady leżące na suchych brzegach Jasiołdy. Rzeka bowiem płynie korytem w szerokiej zabagnionej dolinie, gdzie z dala, na wyższych nieco miejscach, tulą się do stoków garbatych wysp domostwa ludzkie. Mała przystań wiejska, kilkanaście rzędem poustawianych

łodzi, tyleż dzieciaków na brzegu, dwie kobiety i jeden chłop — oto reprezentacja wsi. Po wymianie pozdrowień reprezentacja powoli bierze się do przerwanej pracy t. j. do wyladowywania siana z łodzi na mały wózek, my zaś rozpytujemy o nocleg.

Wieś zabudowana jak przeciętne osiedle poleskie. Po obu stronach piaszczystej, suchej drogi stoją domostwa, zwrócone do niej szczytami. W środku obejścia szopa, stajnia i płot oddzielający małe podwórko. Prawosławna ludność trudni się rolnictwem na suchych, zajętych pod uprawę glinach zmieszanych z piaskiem, poza tym podmokłe łąki dostarczają im siana dla bydła. Porą letnią pasą gdzie się da.

— Gdzie? — pytam.

Zdumiony moim pytaniem poleszuk zdaje się nie rozumieć moich wątpliwości. Wreszcie:

— Tam — brzmi jego odpowiedź, a palec wskazuje stronę, z której przyjechaliśmy i z której przywędrowało owo stado krów.

Jesteśmy szczerze zdumieni. Tu, w sąsiedztwie Pińska, gdzie obszar zawodnienia ¹⁾ wynosi około 46 proc. terenu tu, gdzie mimo pomocy najlepszej mapy gubiliśmy się w szuwarach, wodach i błotach, tu biedne krowy muszą zdobywać kęsy kwaśnej trawy brnąc po kolana na podmokłych terenach. Dzielne bydłatka zaczynają nam imponować.

Przyjrzyjmy się cyfrom. Oto województwo poleskie ma 22 proc. obszaru przypadającego na pola orne. Jest to najniższy procent ze wszystkich województw. Procent przy-

¹⁾ Do obszaru zawodnienia zalicza się jeziora, bagna, podmokłe łąki, tereny zatorfione i grząskie pastwiska. (S. Wendeker — Zmiany w zawodnieniu Polesia i Wołynia — Wiadomości Służby Geograficznej — r. 1930 z. 2).

padający na nieużytki aż 20, najwyższy w Polsce. A łąk i pastwisk 29 proc.! Cyfra duża, ale pod miano pastwisk między innymi wchodzi i takie tereny, o jakich była mowa powyżej. A co dzieje się tam po zlewach, jak w tym roku? Za to ponad czwartą część obszaru pokrywają lasy.

Polesie, jako całość geograficzna, to obszar o 90.000 km² w połowie mniej więcej należący do Polski, w połowie do Białorusi sowieckiej. Około 30.000 km² przypada na bagna. Przyczyną powstania tego olbrzymiego i największego w Europie obszaru błot i bagien jest przede wszystkim nieprzepuszczalne podłoże. Gdybyśmy potrafili przekroić Polesie od powierzchni w głąb, to zauważylibyśmy, że na starych t. zw. paleozoicznych ¹⁾ utworach leżą młodsze od nich ale również stare utwory kredowe ²⁾ przykryte trzeciorzędem. W dyluwium ³⁾ zostały na nim osadzone utwory moreny dennej i czołowej ⁴⁾. Te ostatnie tam, gdzie zdołały się jeszcze ostać, tworzą teren nieco wyższy, nawet pagórkowaty, przekraczający miejscami 200 m. Są to t. zw. ostrowy, które zewsząd otoczone nieprzebytymi bagnami, stają się z natury obronnymi twierdzami. Jedną z takich obronnych wysp stanowi wspomniane wyżej Zahorodzie, na którym usadowił się Pińsk.

Poza tym jest Polesie idealną prawie równiną, zasłaną aluwiami, t. j. utworami geologicznie najmłodszymi.

Wśród tej płataniny błot, łąk, wydm i lasów wiją się rzeki o minimalnym spadku znajdując swe ujście w Pry-

¹⁾ Bardzo stare utwory geologiczne.

²⁾ Utwory najmłodsze ery mezozoicznej (średniowiecznej).

³⁾ Okres lodowcowy, który poprzedził obecnie trwający okres aluwialny.

⁴⁾ Osady lodowców składające się z mieszaniny ilów, piasków, żwirów, kamieni i bloków.



DO TEGO SIANA KOŃMI DOJEDZIE POLESZUK ZIMĄ, PO LODZIE.

peci, która z kolei odprowadza je do Dniepru. Dniepr jednak w swej wędrówce do Morza Czarnego nie może się uporać w dolnym biegu z granitowymi „porohami“, które mu stają na drodze, więc zahamowany, płynie wolno i nie jest w możności odprowadzić nadmiaru wód z Polesia. Wobec tego rzeki poleskie tworzą tu szereg leniwie płynących ramion, zabagniających teren o wspomnianym już wyżej nieprzepuszczalnym podłożu.

Na suchych natomiast wyspach, których tu niewiele, skupiają się osady, między którymi istnieje jedynie komunikacja wodna, zwłaszcza wiosną z tajaniem śniegów, kiedy wody nie mające szybkiego spadku tworzą pokrywę podobną do olbrzymich jezior.

Leniwe wody, bagna i lasy zdecydowały o oryginal-

nym krajobrazie poleskim wyciskając swe piętno na Poleszuku. Powolny, wykorzystuje jednak najmniejszą piędź ziemi zdatnej pod uprawę na owych wyspach, gdzie często całe pagóry piaszczyste, jak obok Bojarów, nie pozwalają na skromną nawet kulturę rolną.

„Ziemia matka skąpa“, skarży się nam chłop, „jeżeli da cztery metry żyta z morga, to dużo“.

To też Poleszuk zwraca się do wód, i widzieliśmy nieraz w ciągu naszej włości, jak we dwójkę czy trójkę zaciągał sieci, lub w pojedynkę stercząc jak słup w czarnej łodzi na środku leniwie płynącej wody czyhał z wędką w ręku na zdobycz.

Inni, bardziej zdecydowani zajmują się do wyrebu lasów w dalekich powiatach, lub do splawiania tratw. A praca to nie lekka. Nieraz ciągną długim sznurem tratwy, wolno jak za pogrzebem. Oto na skrócie zapłacze się jedna z nich. Drogą w ręce, i nieraz dużo czasu upłynie, zanim wyplączę.

A słońce praży, lub wiatr z deszczem zacina, że i światła bożego nie widać. Budują więc szalasy drewniane na tratwie i płyną. Drzewo ludziom potrzebne, a im pieniądze, by nieco soli i chleba do domu przynieść.

Rząd przychodzi z pomocą tej ubogiej ludności drogą melioracji, które polegają na odwadnianiu zabagnionych terenów. Owe wspomniane wyżej kanały, co jak strzała prosto łączą rzekę z wsią, mają za zadanie ułatwić spływ wody do głównego koryta z zawodnionych łąk i pastwisk.

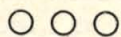
W ten sposób osuszono już poważną część obszaru (około 4.500 km²). Podniosła się dzięki temu znacznie kultura rolna, przede wszystkim łąkowa.

B. Powierza w odczycie wygłoszonym przez radio dnia 12 maja 1929 r. mówi: „Melioracje stworzą nowe tereny

dla osadnictwa. Doprowadzając bagna poleskie na obszarze 1,654.000 ha prawie zupełnie niezamieszkałym do stanu zaludnienia 76 głów na km², czyli przeciętnego dla całej Polski — osiedlić na nim możemy przeszło milion mieszkańców.“

Aczkolwiek ową cyfrę miliona mieszkańców należy uznać za zbyt wygórowaną, to jednak przez zmeliorowanie nieużytków możnaby zmniejszyć w pewnym stopniu naszą emigrację, zaoszczędzając Polsce pieniędzy, wywożonych do Ameryki i wydawanych na podróże.

Praca wre, robi się plany, kosztorysy. Zmieni się kraj-obraz. Ustąpią kiedyś przed wolą człowieka bagna, urozmaicone rzadkimi wyspami, przetkane lasami równiny, zniknie senna monotonia. Zastąpią ją orne pola, gdzie człowiek znajdzie lepsze dla siebie warunki.



Ludziska tu ciemni, a poczciwi duszą i sercem. Często ni pisać, ni czytać nie umieją. To starsi. Młode pokolenie przedstawia się o wiele korzystniej. Dzieci nie umiejących czytać spotyka się tu dziś znacznie rzadziej niż za czasów zaborczych. W r. szk. 1932/33 było na terenie województwa poleskiego 1.092 szkół powszechnych, do których uczęszczało ogółem ponad 150.000 dzieci. Dziś nadal stan oświaty na kresach znacznie się poprawia, przede wszystkim dzięki pracy rządu i Tow. Popierania Budowy Szkół Powszechnych. Ale i dorośli zrozumieli, że oświata to sprawa dla nich bardzo ważna. To też w r. szk. 1933/34 w okręgu szkolnym brzeskim było 16.533 słuchaczy na kursach dla dorosłych, urządzono tam 1.262 świetlice, założono 158 zespołów chóralnych. Młode, powojenne pokolenie „Poleszuków“, jak sami się chętnie nazywają, nie



W GOSPODARSKIM „OBEJŚCIU“ POLESZUKA.

służy już dziś, jak dawniej, za przykład analfabetyzmu i ciemnoty. Mroczne puszcze poleskie przeniknęły już silne promienie polskiej oświaty.

Przypatrują się nam chciwie i ciekawie, a największą sensację zwłaszcza u młodych, budzi nasz kajak.

Takie to małe cacko w porównaniu z ich czarną, ciężką łodzią, a leci jak statek po wodzie. Kiedy w trakcie rozmowy dowiadują się, że zbudowany jest z dykty, nie chcą wierzyć i palcem muszą dotknąć, opukać i ciężar zbadać. Jak poczciwe duże dzieci.

Nie pytając nas biorą kajak jak piórko na bary i niosą do przystani.

Przy pożegnaniu jeden z wieśniaków zadaje nam najprostsze w świecie pytanie:

— A po co tak jeździecie?

I nie może, jak inni, zrozumieć, że nie włóczymy się dla zarobku. Nie umiemy dać jasnej odpowiedzi pytającemu. Do przekonania nie trafiają mu nasze wywody, że chcemy część Polski poznać, porozmawiać tu i tam z ludźmi. Wiadomo, związany z ziemią i wyciąganiem z niej chleba dla siebie i dla rodziny, szukający zarobku w dalekich lasach i wodach dla koniecznego grosiwa, a przy tym przywiązany do swych błot, nie tęskni za inną ziemią, chyba żeby była lepszą. Z zaciekawieniem słucha, że u nas więcej z morga ziemi zboża wygarnie, że bagien nie ma, aż nam później głupio było, żeśmy go przenieśli mimo woli w wyśniony dla niego świat.



Rażnie skoczył nasz „Wilk“ naprzód po spokojnej i błyszczącej jak ciemne lustro powierzchni kanału na półnoku Jasioldzie. Jedzie w poprzek zabagnionej doliny rzeki i za chwilę boryka się znowu jak wczoraj z wiatrem, falą i prądem, który choć słaby, jednak wespół z wiatrem przedstawia wcale pokąźną trudność do zwalczania dla naszych wiosel. W dalszym ciągu ster pracuje omijając wodorosty, i nadal błądzimy nieco wśród zarośniętych odnóg. Z prawej i lewej strony mijamy wspomniane wyżej kanały, prowadzące do nadbrzeżnych osad ludzkich.

Mniej więcej naprzeciw wsi Krzywczyce wydostajemy się wreszcie na bardziej wyprostowany już bieg rzeki, ale za to prąd tu nieco silniejszy.

Widnokrąg się rozszerza, wysokie dotąd szuwary maleją. Widzimy nieco świata. Z prawej strony rozciągają się hen, daleko lasy, a z lewej widnieją blisko rzeki leżące wsie.

Mijamy most na drodze z Pińska do Łohiszyna i wpły-

wamy na rzekę obramowaną wałami. Przeczujemy bliskość kanału Ogińskiego.

Po godzinnym wiosłowaniu zamajaczył w mroku z prawej strony wąski obwałowany wjazd na spokojną wodę kanału, gdzie spoczęliśmy strudzeni całodziennym ścieraniem się z wiatrem i prądem.

Prosto wytyczone linie, równiutkie wały. Geometria. Ściśnięte w 12-to metrowej szerokości wody. Człowiek zwyciężył. Odważył się wypowiedzieć walkę naturze. Przerzucił na przestrzeni 53 kilometrów niedostępnych bagien jakby most, kanał z Jasioldy do Szczary, uszląwniając w ten sposób całą przestrzeń od Prypeci do Niemna o długości 300 km i łącząc linią wodną Morze Czarne z Bałtykiem.

Czujemy głęboki szacunek dla Michała Ogińskiego, muzyka i wodza w jednej osobie. Ogiński, wybitna postać u schyłku Polski przedrozbiorowej, należy do tych ludzi, którzy starają się o podniesienie stanu gospodarczego kraju. Rozumie dobrze znaczenie projektu połączenia kanałowego i korzyści płynące z tego urządzenia dla Polski, a przede wszystkim dla wschodnich, kresowych jej obszarów, toteż nie waha się przystąpić około r. 1765 do budowy kanału, nazwanego jego imieniem, nie waha się wkładać w to wiekopomne dzieło nie tylko pracy ale i dużych sum pieniężnych. „Pomnikiem... wspaniałym, długotrwałym stał się kanał Ogińskiego, chlubnie świadczący o twórczej energii naszych przodków i będący drogowskazem na przyszłość dla najdalszych pokoleń narodu polskiego...“¹⁾

Wjazd do pierwszej śluzy mającej nas podnieść na wyż-

¹⁾ Walerian Charkiewicz — Kalendarz Ziemi Wschodnich — nakładem Tow. Rozwoju Ziemi Wschodnich 1936.



WODA ICH RYBĄ NAKARMI...

szy poziom wody. Śluzowy wpuszcza nas do dolnej komory zamykając za nami bramę. Siedzimy jak na dnie głębokiej piwnicy. Nad głową wysoko gdzieś niebo, ze wszech stron kamienne, oślizgłe ściany.

— Jak mi Bóg miły, zatopią nas w tym grobie.

Zgrzytnęły złowrogo tryby i oto leci na nas z szumem pieniać się w zbałwanionych kłębach, woda z górnej komory. Zbliża się, chlusnęła w kajak z jednej, potem z drugiej strony, aż zachwiał się biedak i odskoczył wstecz, pod tylną bramę.

A tu nowe i nowe bałwany wałą w niego, chcąc nim grzmotnąć o ścianę. Przyjemne to uczucie siedzieć w kajak w czasie śluzowania. Kołysziesz się na wszystkie

strony a równocześnie czujesz, że szybko podnosisz się do poziomu drugiej komory. Oto brzegi, które wisiały nad tobą, zbliżają się. Oto słońce zagląda już w twarz, czego przed chwilą nie mogło dokonać, i w parę minut oglądasz świat po ponurym, zimnym i wilgotnym bytowaniu. Dziesięć razy służy się na kanale do jeziora Wygonowskiego wędrując w górę, za jeziorem w dół.

Oszolomiony „Wilk“ wydostał się wreszcie z tarapatów i spokojnie prze naprzód po cichej, niezmaconej wodzie kanału zostawiając za sobą ślad w postaci lekkich fal.

Przypatrujemy się budowie. Oprócz wymienionych wałów trzymających w ryzach wodę, towarzyszą nam z obu stron drewniane ścianki podtrzymujące wały. Za nimi sterczą ślady wojny światowej, która i tu zabarwiała krwią bagna. Oto co pewien czas widnieją na tle zieleni brudne ściany schronów betonowych, wytrzeszczających na nas swe czarne, dziś tylko groźnym wspomnieniem ziejące, okienka. Dawniej z tych okien sypały się pociski karabinów maszynowych.

W tych latach pełnych grozy, śluz i urządzenia kanałowe zostały zniszczone przez działania wojenne. Rząd polski doskonale zdawał sobie sprawę z roli gospodarczej kanału, toteż umieścił projekt wzniesienia śluz na liście pierwszych zadań w ogólnej odbudowie powojennej kraju. W r. 1927 kanał, wielkie dzieło Ogińskiego, został zwrócony społeczeństwu.

Jedziemy dalej wspominając świeże jeszcze rany. Setki metrów równej linii wodnej, a z prawej i lewej towarzyszy jej wspaniała aleja drzew, na której kończy się horyzont. Przystaniesz ciągnąć wiosłem, zbuntowany „Wilk“ staje momentalnie.

Urozmaiceniem dla nas są spotykane na kanale statki pasażerskie kursujące między Telechanami a Pińskiem,

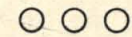
a mimo to są przez nas znienawidzone. Nie dość, że mącą ciszę, na dobitek wpakuje się taki intruz do komory w trakcie ślizowania i porusza się niby hipopotam. Toteż niecierpliwi się „Wilk“ czekając na swą kolejkę.

Inna osobliwość to kajak jadący w stronę Pińska. Poczciwy kierowca zwraca nam uwagę, byśmy mieli się na ostrożności w stosunku do ludności nad Szczarą, bo jemu w mgnieniu oka nad brzegiem rzeki na skutek niedopatrzenia chwilowego „zwinęli“ nie żagiel, ale portfel, rewolwer i niektóre części garderoby. Okradziony jego towarzysz musiał zrezygnować z dalszej wycieczki, a on kontynuuje swą podróż. Uspokajamy poczciwego z wyglądu jak my włóczęgę, że i to czasem może się zdarzyć, ale nie trzeba się tym przejmować. Bo kajakowcy to zupełnie odrębna grupa w społeczeństwie, ludzie należący do typu „acomitam“ (należy czytać a! co mi tam!), ludzie, którzy twierdzą, że jeżeli tylko woda odpowiednia, to innych przeszkód nie ma. A portfel, rewolwer — no, trudno, albo trzeba uważać by nie zginęły, albo, najlepsza to rada, nie brać z sobą ani jednego, ani drugiego. Na wszelki wypadek trochę pieniędzy trzeba mieć, choćby na kroplę mleka do ust.

Nawiasem mówiąc, nasz fotograf w czasie całej wycieczki chodził „zalany“ nie alkoholem, broń Boże, ale właśnie mlekiem. Niszczył przy każdej nadarzącej się sposobności ogromne ilości tego nad wyraz zdrowego trunku sumując, ile to litrów wypił od dnia wyjazdu.

Poza tym spotykamy na kanale często tratwy. Z rozmowy z ludźmi dowiadujemy się, że na transport z Telechan do Pińska potrzebują nieraz aż 8 dni! Spowodowane to jest stojącą wodą kanału, słabym prądem Jasioldy, jazdą pod prąd Piny i wreszcie wrodzoną powolnością Poleszuków. Przy czym dużo czasu zabiera ślizowanie

długich na kilometr mostów drewnych, które trzeba przed komorą dzielić, a potem znowu złączać.



Mimo narzekania na wszelkie motorowe łodzie, na huk, jaki stwarzają, przyjmujemy zaproszenie gościnnego kontrolera kanału, który proponuje przywiązanie kajaku do swej łodzi i „podciągnięcie“ nas do Telechan.

Jedziemy teraz jak strzała w porównaniu z dotychczasową szybkością. Tylko biedny sternik bezustannie musiał to prawą, to lewą nogą trącać ster, patrząc jak sroka w kość w linkę przytrzymującą kajak. Linka ta na tylnej ścianie motorówki służyła mu za wskaźnik, czy „Wilk“ zbacza, czy też jest na dobrej drodze. Orientacja i pchnięcie steru musi być szybkie, by nie napić się brudnej wody niegłębokiego zresztą kanału (1 m).

„Wilk“ jak zwariowany z przodem wysoko nad powierzchnią uniesionym tarzał się brzuchem w kłębowisku wodnym za motorówką. Nałykał się przy tym wody nie-mało.

Jedziemy jak torpeda.

Uwaga. Świst w uszach, wzrok skierowany w linkę.

Jak pług skibę, odrzuca śruba wodę.

Emocja. Uciekają drzewa, słupy, kilometry...

„Z uczuciem radości wywołanym szybką jazdą „zarobiliśmy“ całych 10 km przybijając niebawem do przystani w Telechanach.

Robimy wrażenie swoimi czekoladowymi już ciałami. Jest godzina 5 po południu. Dość ludzi przechadza się nad kanałem.

Zostawiamy kajak w przystani, a rzeczy u gościnnego ślizowego, podążając po zakupy.

Miasteczko o tysiącu z górą mieszkańców rozsiadane jest malowniczo na piaskach niskimi, parterowymi, drewnianymi domami wzdłuż zachodniej strony kanału. Z wielką trudnością dowiadujemy się, że widokówki dostaniemy w aptecce, bo urząd pocztowy już zamknięty (minęła 6-ta). Uporawszy się z korespondencją i brnąc po kostki w piachu ulicznym, skupujemy prowiant na dalszą podróż. A czeka nas strefa nadal błotna, niedostępna, pozbawiona miast. To też skrupulatnie wypełniamy plecak u kupców żydowskich, którzy stanowią wyraźny odsetek ludności.

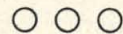
Z prawdziwą satysfakcją połączoną ze zdumieniem oglądamy u śluzowego księgę, w której wpisują swe nazwiska przejeżdżający sportowcy. Całe strony wprost zawalone krótkimi uwagami i podpisami.

Oto grupa kajakowców ze Śląska, Poznania, tu znowu ze Lwowa, Warszawy. Wszystkie dzielnice reprezentowane. Aż dusza rośnie, gdy się ma dowody rzeczowe i namacalne, rozwoju tego zdrowego i pysznego sportu. To nie „podróże“ po rzece 1 km w dół od rodzinnego miasta i powrót na ląd! Nie tacy tu figurują. To same wilki rzeczne. Włóczą się po Polsce propagując czynnie sport wodny i krajoznawstwo od strony rzeki.

Nie wiedzą rano, gdzie dziś nocleg wypadnie, codziennie z innymi stykając się ludźmi, wrażliwi na piękno krajobrazów, wolni od trosk codziennych, oderwani na chwilę od monotonna życia.

— W lipcu — mówił sympatyczny śluzowy — śluz się nie zamyka, że człek odsapnąć nie może. Kajak za kajakiem, łódź za łodzią. Nic, ino kręć korbą i kręć. A ile przenoszą dokoła! Ogony czekają na swą kolejkę. A tu i tratwa przyjdzie i barka. Istny port morski robi się wtedy z naszych Telechan — skończył, dając do przejścia duży album z fotografiami okolic.

Teraz (pierwsza połowa sierpnia) ruch słabnie, urlopy i ferie szkolne się kończą. My podobno tworzymy już ostatnią falę.



Zegnamy więc Telechany, spiesząc do jeziora Wygonowskiego. Pośpiech jednak nie bardzo pomaga. Partia kanału poniżej Telechan wydaje nam się złotem w porównaniu z tym, co mamy przed sobą, a raczej pod sobą.

Do jeziora Wólka jeszcze droga możliwa, ale dalej czysta rozpacz. Kanał¹⁾ zaniedbany przez rządy zaborcze pokrył się gęstym kożuchem zielonych wodorostów. Istna zupa! Tym gorsza, że wywołuje spory między fotografem i sternikiem.

— Nie chlap, aparat! — zawarczał.

— Uważaj, mapa! — syknął drugi.

Przyczyną chlapania była ta właśnie zupa. Wodorosty owijały się dokoła pióra wiosła to z jednej, to z drugiej strony młynkując nad głową, bluzgając niemożliwie brudną wodą. Było to jednak niczym wobec tempa naszej jazdy.

Oślizgłe trawy tworzą w niektórych miejscach tak zbite masy, że „Wilk“ staje po prostu, nie mogąc poruszyć się z miejsca. Zamiast o wodę bijemy wiosłami o zielska. Szczęściem, że nie tworzą one nieprzerwanej strefy, lecz otwierają przed nami od czasu do czasu odżywcze i zbawienne okna wody.

Z tych powodów nie spotykamy już statków, które kończą swój kurs w Telechanach, z tych samych powo-

¹⁾ Biuro Projektu Melioracji Polesia ma zamiar przesunąć kanał o 30 km na zachód, gdyż dzisiejsza trasa, wadliwa, powoduje silne zabagnienie.



„PYCHÓWKA“ JEST POWSZECHNYM ŚRODKIEM LOKOMOCJI.

dów śpieszno nam do zbawczego jeziora Wygonowskiego, które zbliża się stale choć powoli.

Wreszcie mijamy jaz i oto otwiera się dość silnie sfalowane zwierciadło jeziorne. Spoczywamy u jazowego i gawędzimy paląc papierosa.

Niewesołe ma życie, jak wszyscy śluzowi i jazowi.

— Sam tu jak palec jestem wśród tych błot. Do najbliższej osady całe kilometry. Jedyne urozmaicenie — to jezioro, i kiedy łodziami tędy przejeżdżają, to się trochę wygadam i o świecie dowiem. Poza tym smutno i samotnie.

Okolica niewesoła. Jezioro Wygonowskie o powierzchni 26 km² nie stanowi głębokiego zbiornika wodnego (1,5 m — 2), a mimo to jest bardzo zdradliwe. Dno jego grząskie, mułem pokryte, nie utrzyma stopy ludzkiej.

Spokojnie naogół, umie w czasie silnej wichury przenieść obladowany kajak i nierzadko śluzowy z X służy ciężką łodzią zdążyć na ratunek. Zdąży to dobrze, a nie, wtedy rozbitkowie płynąć muszą ku dalekiemu brzegowi nie próbując stopami oprzeć się na zdradzieckim dnie.

Ot i teraz dmie półn.-zachodni wiatr. Wesole, żywe fale z szumem docierają do naszych stóp, wdzierają się między gęsto ustawione kije na sieci i milkną, by ustąpić miejsca drugim.

Jedziemy. Pierwsze fale odbiwszy się od falochronu skropiły nasze ciemne ciała, potem drugie, trzecie, dziesiąte. Mocno ciągniemy wiosłami kierując się w stronę dwu wyniosłych drzew na horyzoncie służących za drogowskaz.

Pięć kilometrów jazdy po rozkołysanym z lekka jeziorze to emocja, którą trzeba przeżyć, by ją poznać i zrozumieć. Na nic opisy, na nic zdjęcia fotograficzne.

„Wilk“ z ochotą okrutną wygina się całym cielskiem w górę i w dół. Zatrzymujemy kajak na środku jeziora, by przypatrzeć się szerokiemu tutaj horyzontowi.

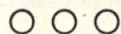
Jezioro Święcickie, Wygonowskim zwane od wsi Wygonoszczy leżącej na południe przy kanale w odległości około 8 km, zamknięte niskimi, zalesionymi pagórkami robi miłe wrażenie, choć krajobrazowo do zbyt pięknych zaliczyć go nie można. Ogiński wykorzystał je umiejętnie w projekcie systemu kanałowego. Najwyższym punktem kanału jest zwierciadło j. Wygonowskiego¹⁾ (155 m n.p.m.), a tym samym znajdujemy się na głównym dziale wód europejskich. Ciągnie się ów dział hen od Pirenejów, poprzez Alpy, Karpaty, wschodnią Polskę, Polesie i biegnie

¹⁾ Kalendarz Ziemi Wschodnich — nakładem Tow. Rozwoju Ziemi Wschodnich 1936.

na półn.-wschód, dochodząc do Uralu. Jesteśmy na ważnej linii granicznej, która oddziela dwa stoki, jeden pochylający się z Prypecią i Dnieprem ku połud.-wschodowi do Morza Czarnego, drugi ku półn.-zachodowi ściga wody Niemna ze Szczarą ku Bałtykowi. Odtąd płynąć już będziemy po tym ostatnim a więc z prądem, co napawa nas też pewną dozą przyjemnego uczucia.

Po trzydziestu minutach jazdy zbliżają się szuwary przybrzeżne i po pewnym wahaniu odnajdujemy wyłot do dalszej części kanału. Wyrasta pas wzgórz nikłych, wyrastają owe dwa potężne teraz drzewa.

Za chwilę śluzujemy po raz ostatni, w dół na odmianę, jeszcze dwa kilometry jazdy po stojącej wodzie kanału i oto przyjmuje nas wyraźnym nurtem płynąca zbawienna Szczara.



Szarpnęła łodzią, która z zadowoleniem pruje nurty silnie meandrującej¹⁾ rzeki. Z pełną satysfakcją składamy wiosła, dając się lekko i wolno ponosić prądowi. Początkowo, jak na Jasioldzie, widok zakrywają wysokie szuwary. Wciąż jeszcze otoczeni bagnami tej północnej strefy Polesia zaczynamy powoli żegnać się z tą krainą, która tyle oryginalnych otworzyła przed nami obrazów, której tyle wrażeń głęboko przeżytych mieliśmy do zawdzięczenia.

Nie przesadzę, jeżeli powiem, że w ciągu tych kilku dni zżyliśmy się z Polesiem, z jego uroczą ciszą, w której kajakowiec znajduje pełnię przeżywanego myśli, nie skłamię, jeżeli wyznam, że było nam żal trochę, iż oto Szczara szybciej nas stąd wyniesie, niż tego może pragnęliśmy.

¹⁾ Rzeka meandrująca — płynąca zakrętami czyli zakolami. Nazwa pochodzi od rzeki Meander (Azja Mała) słynnej z typowych zakrętów.

Poprzednio nurtowała nas ochota, by się dostać już prędzej na Szczarę, gdyż dotąd ciągnęliśmy albo pod prąd Jasioldy, albo po stojącej wodzie kanału. Teraz przykro nam, że oto Polesie za nami, że pierwszy etap wycieczki ma się ku końcowi. Przystając z przyrodą, turysta ma możliwość, jak my teraz, wczuć się w nią, przemyśleć, zgłębić i wiele zjawisk, które dla niego przedtem były jałowe, teraz w pełni zrozumieć. Stają się one treściwe, bo na własnej przeżyte skórze. Sentymentalna i smutna kraina mimowoli wywiera swój wpływ na każdego, kto się z nią zetknie. Toteż z chwilą, gdy znaleźliśmy się na krętej Szczarze, żal nam było Polesia, a równocześnie weselej i raźniej, bo nowa droga wodna wymaga innego do niej nastawienia. Wprawdzie i tu cicho, smutno jeszcze, ale za parę godzin opuścimy już bagna, które na pożegnanie mają nam się dać we znaki.

Zakręty rzeki są tak nagłe, że na 40 metrów w przód już jej nie widać, a przy tym częste. Sternik nieraz musi sterem zwracać kajak pod kątem 120°, żeglując ku zachodowi to znów ku wschodowi. Zwolna brzegi koryta zaznaczają się coraz wyraźniej, nie przenosząc nigdzie jednak półmetrowej wysokości. Muchy znowu dobierają się do naszej skóry, w mniejszych jednak ilościach niż nad Jasioldą czy kanałem.

Średni spadek rzeki obliczony na 0,23‰ pozwala na złożenie od czasu do czasu wiosła, a odpoczywając przy tym można spokojnie przypatrywać się okolicy i czynić spostrzeżenia.

Częste są tu wiry. Wabią do siebie siłą skreću chcąc wciągnąć zdradliwie na dno muliste nieostrożnego. Trzeba patrzeć przed siebie i ostrożnie wymijać, zwłaszcza te większe.



CZĘSTE TU SĄ WIRY NA ZAKRĘTACH.

Raz siadł „Wilk“ dzięki nieuwadze sternika; rzuciło nim w dół, szarpnęło rufą, podczas gdy dziób wychylił się skośnie w górę skracając przy tym w bok. Wyrwał się jednak tym razem ze zdradzieckiego wiru tylko dlatego, że poprzednio, przed lejem, miał odpowiednio silny rozpęd, który automatycznie przerzucił go na drugą stronę. A wir kręcił się już za nami w bezsilnej złości, cichutko, podstępnie, tajemniczo... Za chwilę zniknął nam z oczu, gdyż spłoszony „Wilk“ rwał naprzód.

Nieladnie pożegnało nas Polesie. Było w tym i trochę naszej winy, gdyż za późno obejrzeliśmy się za noclegiem. Nawet z mapy już korzystać nie było można z powodu mroku zwłaszcza, że jak na dobitek mgła dusząca powoli siadała na wodzie i świat do reszty przesłaniać zaczęła.

- Patrz! Antena! — krzyknął sternik.
- Brawo! Za chwilę śpimy jak anioły.
- Tempo, raz!
- Tempo!
- Dwa, raz, dwa, raz!...

Mknęliśmy w kierunku niewyraźnej, zbawiennej anteny radiowej, a świat już dobrze szerniał. Wzrok skierowany w jasne tło nieba i w sylwetkę żerdzi czy słupa. Mimo solidnego wiosłowania wilgotne zimno dobiegało się coraz natarczywiej do naszej skóry.

Śmiejemy się z tego, o głupi, w nadziei, że za chwilę odsapniemy. Tymczasem z powodu silnych skrętów krążymy za nurtem, jak nam on każe, a zbawcza antena na horyzoncie przesunęła się wskutek tego wstecz, za nas i powoli nikać i migać w oczach zaczęła.

- Stop, wyskoczę i zobaczę co to za lichy.

Gramoli się biedny fotograf na lekkie, suchsze wzniesienie na brzegu i patrzy...

A w uszach dzwoni rozchukana ruchem krew...

Milczenie.

— Udała ci się ta antena, nie ma co — grzmiało z góry pasją.

— To najzwyklejsza w świecie żerdź, zatknięta w bagno nie wiadomo po co!

— Cooo?

— Coo, coo — przedrzeźniał wścickly — mówię, że to nie żerdź anteny, tylko jakaś zwariowana tyka.

Żli na brak noclegu, mgłę, ciemność, komary, antenę, daliśmy mocnego susa naprzód. Cisza.

— Wiesz co to jest hemeralopia? — zapytał nagle sternik.

— A daj mi spokój, uważaj lepiej, byś nas nie wpakował w jakieś bagno.



LASY NA POLESIU PRZEGLĄDAJĄ SIĘ W WODZIE JAK W LUSTRZE.

— Nie bój się, uważam. Ale czy wiesz co to jest hemeralopia?

— Słyszałem gdzieś o tym, ale nie w głowie mi to teraz.

— Właśnie, że masz to w głowie. I ty i ja, obaj. Hemeralopia, uważasz, to taki dar bogów. Ambrozja. Siatkówka cierpi dzięki zanikowi pigmentu, degeneratio pigmentosa, na osłabienie reakcji.

— Skąd ci teraz takie medicamenta na myśl przychodzą?

— Wiesz, co znaczy po polsku owa lopja? Całkiem prosto — kurza ślepotą. Tacy kajakowcy widzą dobrze tylko przy dziennym świetle...

Pusty, niefrasobliwy śmiech był odpowiedzią. Śmia-

liśmy się obaj, aż kajak zakolysał się, zaczepił o coś, szarpnął.

W międzyczasie znaleźliśmy w zupełnych już ciemnościach suchy kawał brzegu i postanowiliśmy tu zano-cować.

Jak wyglądał ten hotel na bagnach, o tym zamilczę. O tym, że gotowaliśmy na gwałt herbatę na rozgrzewkę dzięki zbawiennej kopicy zasuszonych szuwarów, wieszając przy tym menażkę na wiosle, też zamilczę. Natomiast krzyczę na całe gardło urbi et orbi, że na przyszłość postanowiliśmy brać z sobą namiot za wszelką cenę, by nie być zależnym od halucynacji i hemeralopii, a za noclegiem rozglądać się nieco wcześniej, a nie z zachodem słońca.

Są to znane powszechnie wskazówki, jednak mimo to uważam za konieczne, by je tu przypomnieć.

Szczęście, że była pogoda. Księżyc.

Mgła białą taśmą oblepia rzekę. Komary grają.

Rozżarza się koniec papierosa i przygasa. Lekki dym płoszy muzykantów. Cisza.

W pobliskich zaroślach chlapnęła woda. Cisza. Wyteżamy słuch. Krótkie, głośnie postękiwania do ryku podobne. Chlapnęło błoto raz i drugi i wszystko się uci-szyło.

Łoś czy nie łoś? Z tą myślą chrapnęliśmy, okrywszy się poprzednio kocami i swetrami, a gdy otworzyliśmy oczy, była pierwsza po północy. Nie mogę powiedzieć, że noc tę uważaliśmy za straconą. Przyroda i w nocy żyje. Wolałbym jednak spać pod wygodnym namiotem a nie na niskim, podmokłym gruncie.

O godzinie 3-ciej znowu herbata i jazda...

Opuszczamy miejsce noclegu, ostatniego na terenie Polesia. Wije się kręta droga Szczary, przecinająca w dalszym biegu wspaniałą doliną przelomową garb płyty wołkowysko-słonimskiej z lewej, a wyżyny nowogródzkiej z prawej strony. Poznać to po coraz częściej spotykanych wyższych, piaszczystych lub piaszczysto-gliniastych brzegach z obu stron rzeki. Szczara i równoległa do niej Zelwianka to dwie rzeki, które przecinają ten wysoki i suchy pomost garbów, wciskających się klinem między bagna poleskie i nadbiebrzańskie tworząc w ten sposób naturalną drogę w kierunku Europy wschodniej. Pomostem owym szły wojska Batorego, Napoleona. Tu na linii Szczary staczano zażarte walki w czasie wojny światowej...

Towarzyszy nam cisza i mgła tak gęsta, że przed sobą na 10 m nic nie widzimy. Na kilka kroków w bok od rzeki roztapia się jednak odsłaniając nam po kilku kwadransach nowy krajobraz.

Woda ciepła, jak herbata, którą czujemy jeszcze w żołądkach. Wobec tego następuje oryginalna kąpiel tuż przed samym wschodem dnia. Za chwilę promienie ponad wszystko mocniejszego słońca przebijają mgłę.

Oczom coraz częściej ukazują się chaty wiejskie tuż nad rzeką leżące, widok, którego nie mieliśmy w dotychczasowych dniach włości. Oto las świerkowy i pola orne, i pastuchy pędzący bydło na paszę, jakiś ruch i życie — obraz, którego na Polesiu oglądać z rzeki nie można.

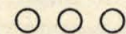
Jeszcze i tu od czasu do czasu wionie na nas odorem od błot, których jednak już coraz mniej. Kończą się one tutaj zdecydowanie, by po drugiej stronie przelomu już za Słonimem znowu ogarnąć rzekę, a wraz z nią i nas.

Jeszcze przy ujściu Hrywdy chwytają nas równe jak



...NIE TRZEBA ICH PILNOWAĆ, PIESKI POMAGAJĄ IM W ORIENTACJI.

stół bagna Pogonia; jeszcze zrywają przed nami kaczki, choć rzadko. Udaje się nam zobaczyć bardzo rzadki okaz czarnego bociana, który zamieszkuje tylko okolice Karpat i północne obszary Polski.



Wkrótce przyjmuje nas gościnnie drewniane miasteczko Byteń.

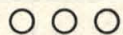
Złatwiamy zakupy wypychając znowu „Wilka“ po brzegi.

W małej żydowskiej miścinie sensacja. Małe grupki chłopaków towarzyszą nam w przyzwoitej odległości. Z niezrozumiałego dla nas szwargotliwego gardłowego żargonu dochodzą nas jednak i zrozumiałe urywki w formie „schau a kajaker!“

W drzwiach pustych sklepów stoją kupcy. Zapraszają chętnie do środka obiecując, że wszystkiego u nich dostanie.

Na gościńcu mieszają się krowy ze stadkami owiec. Wracają z pastwiska chroniąc się na noc do obory. Pastuch niewidoczny, a owce i krowy odrywają się same od głównego stada i w grupkach po dwie lub po trzy zbaczają na własne podwórko. Nie trzeba ich pilnować, jedynie pieski pomagają im w orientacji.

Dwa kościolki i budynek poczty stanowią resztę godnych widzenia obiektów. W ciemnej sieni urzędu pocztowego załatwiamy obowiązki korespondencyjne udając się potem na spoczynek.



Jazda na omawianym odcinku bardzo miła, w przelomowej bowiem dolinie bieg nizinnej rzeki staje się zdecydowanie szybki. Nurt sam ponosi, zwłaszcza gdy mu kilkoma uderzeniami wiosł pomożemy. Na nasze utraconie kajak często „siada“, rzeka bowiem obok kilkumetrowych głębin staje się nagle płytka, za płytka nawet dla kajak. Musimy mu pomóc, aby się wyrwać z mielizny.

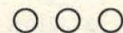
Przyczyną tego są wspaniałe, klasycznie wprost wyrzeźbione meandry. Od zewnętrznej strony zakrętu towarzyszą rzece spadziste brzegi, podmywane przez silny odśrodkowy nurt, który głęboko wgryza się w podłoże. Tu też zaznacza się głębia, wyraźna z powodu ciemnej barwy wody na tle jasnej, płytkiej, piaszczystej lawicy. Usypuje ją słaby, po wewnętrznej stronie zakola płynący prąd.

Odtąd jednak płyniemy głównym korytem, choć nakła-

damy drogi obawiając się, by nie wpaść w pułapkę mielizny, co zawsze jest połączone z niepotrzebną stratą czasu.

Mimo to często tendencyjnie przybijamy do owych plaż, by wykąpać się w słońcu, piasku gorącym i wodzie. Coraz częściej składamy w czasie jazdy wiosła dając się nieść prądowi i wyteżając wzrok, czy nie uda się nam zobaczyć kryjówek bobrowych. Tu bowiem w okolicy Dobrego Boru mają one jedno ze swych rzadkich już siedlisk.

Robi się weselej. Wysokości względne stale wzrastają. Towarzyszą nam lasy, zwłaszcza od wschodu, by dalej na północy złożyć się na piękną, w resztkach tylko zachowaną, w widłach Niemna i Szczary — puszcę zanie-meńską.



W dali widnieje na jasnym tle nieba most.

Slonim.

Świadczą o nim coraz częściej spotykane na rzece kajak, prowadzone ręką męską, chłopięcą lub niewieścią. Znać, że piękny sport ma tu wielu swych zwolenników.

Oto ojciec z dwoma małymi pędrakami wiosłuje z wolna. Chłopcy żywo coś gaworzą kąpiąc w promieniach słońca małe swe ciała. Tam wesołe „mieszane“ towarzystwo pokrzykuje ochoczo w naszą stronę.

Zwracamy uwagę mijających nas swymi naprawdę już teraz murzyńskimi ramionami, torsem i twarzą. Napis „Wilk“ i „L. M. i K. Kołomyja“ dokonują reszty.

Jest niedziela. Z „fasonem“ przybijamy do przystani L. M. i K.

Ruch.

Spacerowicze wygarnęli na pomost. Z daleka dochodzą nas dźwięki orkiestry. Jest nam niewymownie miło. Jak

marynarzom, którzy po długich tygodniach podróży morskiej zateśknili do świata, ludzi, ruchu, muzyki. Wreszcie ukazuje się upragniony port.

W mgnieniu oka z nagusów przeobrażamy się w cywilizowanych ludzi i wychodzimy do miasta. Fotografowi i sternikowi błyszczą w uśmiechu zadowolenia białe zęby, tym bielsze, że migocą na tle czarnych twarzy. Zdażam zauważyć, że memu partnerowi kajak służy, bo oblicze jego przybrało wyraźny kształt pełnego, łagodnego owalu. Twierdzi stanowczo i z pasją, że to widoczny skutek mleka, polykanego w nadmiernych ilościach w ciągu wycieczki.

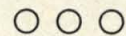
Faktem jednak jest, że przebywanie w kajaku nad wodą, w słońcu i powietrzu pozbawionym kurzu, a przesyconym zapachem łąk i żywicy leśnej, nie może pozostać bez wpływu na zdrowie, wyglądzie i samopoczuciu, co stwierdziliśmy na własnych skórach.

Rozumie to olbrzymia część naszego społeczeństwa, jako też i sfery rządzące. Mnożą się kursy budowy kajaków, powstają przystanie. Wielką zasługę w tej dziedzinie mają oddziały L. M. i K., oddziały P. W. i W. F., harcerstwo i organizacje prywatne. Należy przyklasnąć temu zjawisku. Rzek bowiem dobrych nadających się do żeglugi kajakowej mamy dość. Wystarczy wspomnieć, że posiadamy na ziemiach naszego państwa ponad 14000 km dróg wodnych nie licząc pomniejszych i około 3.500 jezior. Byłoby więc grzechem, gdyby rozwój sportu kajakowego nie ogarnął wszystkich tych, którzy mają, jak się to u nas mówi, wodę pod bokiem.

Drugim atutem tego sportu to jego strona finansowa. Ze wszystkich sposobów wycieczkowania ten wydaje mi się najtańszym, co jest ogromną zaletą tego rodzaju włości, nie próżnującego próżnowania.

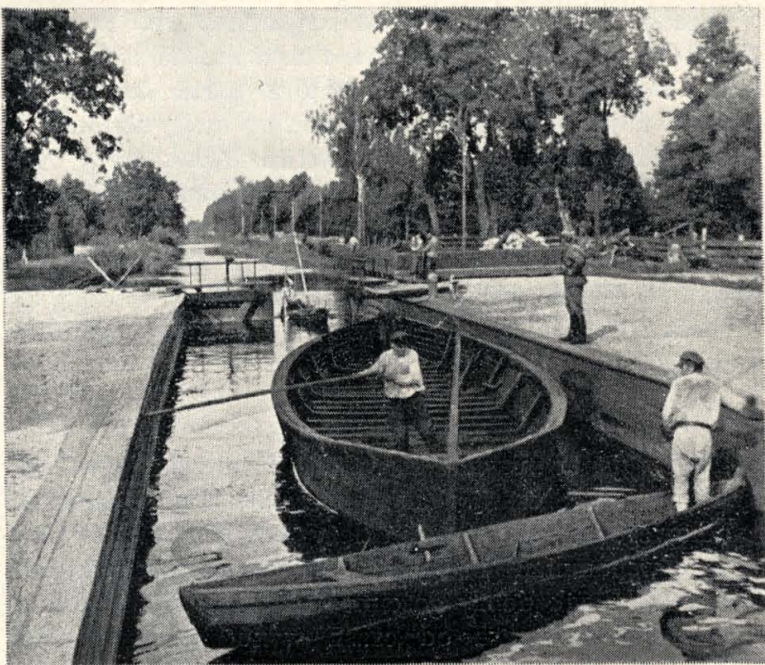
Trzecia piękna rzecz — to krajoznawstwo. Przecież prawie do wszystkich zakątków Polski można się przemknąć kajakiem wyłączając niektóre partie karpackie. Piękne, mniej lub więcej znane krainy mogą się stać tą drogą przedmiotem naszego znawstwa. Poznawajmy Polskę! Nieprawda bowiem, że ją dobrze znamy! Siadajmy w kajak i wędrujmy! Gawędźmy z ludźmi tu i tam, przypatrzmy się ich życiu, ich rozwojowi a zauważymy, że dużo tu i ówdzie jest jeszcze do zrobienia.

Niech to właśnie będzie dewizą naszą w propagandzie wodnego sportu.



Obserwujemy miasto. Około 16.000 mieszkańców rozsiadło się nad Szczarą. Stary ten gród dziś ma charakter handlowego miasta. Słonim leży bowiem w środku owego wspomnianego wyżej przejścia na wschód, nad rzeką, która jak dobry gościniec łączy Polesie z doliną niemeńską, zwłaszcza od czasu wybudowania kanału Ogińskiego. Stąd ludność miasta z wdzięcznością wspomina nazwisko hetmana, który w stanowczy sposób zdecydował o rozwoju dawnego grodu. Handluje się tu płodami rolnymi, bydłem, a przede wszystkim drzewem. Słonim, otoczony lasami w bliższych i dalszych okolicach, stał się jak Pińsk centrum tego rodzaju handlu. Stąd tartaki znajdują tu pokaźne ilości żarła, zjadanego kosztem owych drzew puszczańskich, które dawne pamiętają dzieje...

A dzieje te burzliwe i tak stare, że niepewnym jest kto i kiedy miasto założył. W kronikach traktujących o nim znajdziemy wzmianki, że już na przełomie X—XI w. był Słonim osadą mającą duże znaczenie, musiał więc istnieć już przedtem. Walczy o miasto Litwa i Ruś, niszczą Ta-



KANAŁ KSIĘCIA MICHAŁA OGIŃSKIEGO.

tarzy. Słonim, który leży na krzyżownicy dróg, wzrasta w swej roli nie tylko jako ważny punkt strategiczny, ale i handlowy, podobnie jak inne tego rodzaju miasta (Wilno, Grodno, Pińsk).

W kierunku podniesienia Słonima decydowały stanowczo wydarzenia i wpływy polskie XVI, XVII i XVIII wieku. Oto Lew Sapieha, najwybitniejszy przedstawiciel magnackiego rodu na Litwie, późniejszy hetman wielki litewski, dbał usilnie jako starosta słonimski o rozwój miasta, które w r. 1591 otrzymuje herb od króla Zygmunta III. Ze względu na to, że powiatowe już podów-

czas miasto miało duże zasługi w życiu kulturalnym i państwowym na kresach Rzeczypospolitej, wzrasta w znaczeniu wśród innych mniejszych miast polskich.

Szereg bitew stoczonych ze Szwedami czy Moskalami pod Słonimem i w najbliższych jego okolicach pozostawia w historii miasta nazwisko Pawła Sapiehy, wojewody witebskiego i hetmana wielkiego litewskiego, dalej hetmana Czarnieckiego i innych.

Pełno tu wspomnień o pracy włożonej w to miasto przez znanego już nam hetmana Michała Ogińskiego. Słonim za czasów starosty Ogińskiego — to symbol wyników pracy kulturalnej Polski na kresach. Wiek XVIII to jeden z najświetniejszych okresów tego grodu głównie na polu artystycznym, kulturalnym i ekonomicznym. Teatr i dwór hetmana były znane w Polsce, jako ważny ośrodek łączący kresy z życiem umysłowym zachodniej Polski.

W r. 1919 Słonim został wydarty bolszewikom i powrócił znowu do Rzeczypospolitej.

Zwiedzamy kościoły z XVII i XVIII w., między nimi kościół parafialny, cerkiew, meczet, oglądamy niektóre nowe gmachy państwowe i śpieszymy obejrzeć browar, fabrykę maszyn i garbarnię.

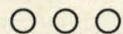
Naszą krętanicę po mieście kończą czarne wały chmur. Grube, niskie nimbusy zdają się zaczepiać o wieże kościelne, błyskając groźnie. Uchodzimy do przystani. Po raz pierwszy w ciągu wycieczki powitał nas deszcz. Ale ulżył sobie w nagrodę, topiąc w strugach wody widnokrąg i lał bez przerwy pół doby. Mielśmy tedy zamiar zmienić częściowo plan i pociągiem via Wołkowysk udać się do Mostów nad Niemnem.

Już studiowaliśmy rozkład jazdy, już mieliśmy zamiar nadać kajak, gdy nagle prysnęły chmury i dwóch despe-

ratów kontynuowało swą jazdę na „Wilku“ przecinając dalszą część miasta z biegiem rzeki.

Znowu otoczyły nas od półn.-wschodu zalesione, pachnące pagóry. Pagóry owe, to moreny polodowcowe, które tworzą pomost między Mazowszem a Wileńszczyzną. Wjeżdżamy w dolny odcinek Szczary, eskortowany przez dwie strefy bagien, odległych nieco od brzegów rzeki.

Mijamy wsie białoruskie i wpadamy znowu w strefę gorzej zaludnioną, bardziej pustą, aż wreszcie pięknym wirażem wjeżdżamy na wody Niemna żegnając Szczarę.



Majestatyczny, potężny Niemen!

Chwycił „Wilka“ w swe ramiona i poniósł go wartko. Korytem szerokim, miejscami do 200 m, wiję się cicho między niskimi brzegami. Krok w krok towarzyszą mu opuszczone starorzecza.

Krajobraz nadniemeński na tym odcinku monotonna, niż nad Szczarą. Znajdujemy się w dolnej części górnego biegu Niemna, który dopiero w partii przełomowej w okolicy Grodna roztoczy przed nami cały swój urok. Tu zahamowany, wiję się na wzór Szczary pięknymi zakolami, obnażając w słońcu plaże, obramowane lasami.

20 km oddziela nas od Zelwian, gdzie obiecujemy sobie dobrze zasłużony odpoczynek.

Most. Lewy, stromy brzeg Niemna, prom.

Przybijamy.

Znajdujemy serdeczną gościnę u D-ra D., który patrzył na nas nieufnym okiem. Nie dziwimy się i nie bierzemy tego broń Boże za złe. Nasz kajakowy na wpół cywilizowany strój nie może znowu, zwłaszcza początkowo, zbyt wylewnie nastroić. Lody pękły po kilku minutach.

Dawno niesłyszane radio napelnia nasze uszy wiadomościami i muzyką z Polski i świata. Przyznajemy się, że solidarnie w ciągu całej wycieczki nie wzięliśmy gazety do ręki nie chcąc osłabiać wpływu, który wywierała na nas przyroda. Co innego radio, za które z tego miejsca serdecznie dziękujemy, jak też za serdeczną gościnę i informacje dotyczące się stosunków miejscowych.

Dzięki zawartym znajomościom danym było obejrzeć fabrykę dykty.

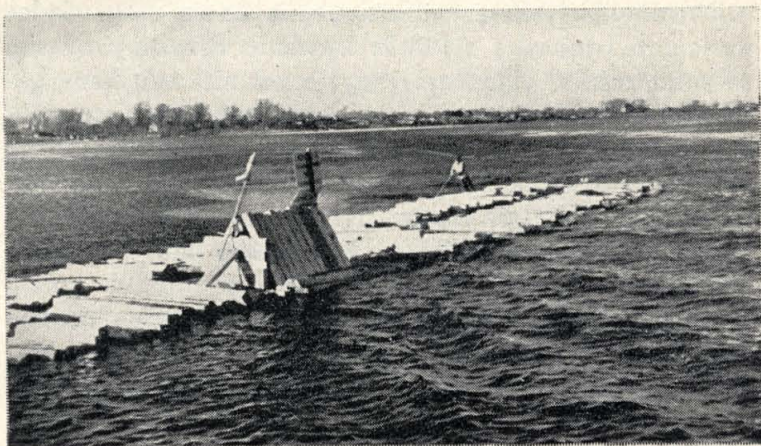
Most łączący oba brzegi jest w trakcie naprawy, wobec tego wsiadamy do łodzi. Teraz dopiero poznaję błogosławieństwo niebios, które zesłały na ludzkość plagę pod postacią kajaków.

500 km przebytych kajakiem wydało mi się podróżą na pokładzie luksusowego okrętu w porównaniu z krótką przejażdżką tą łodzią. Chwieje się to paskudztwo w obie strony, że omal choroby morskiej nie dostaliśmy. Człowiek, to znaczy my, siedzi wysoko na ławce, a łódź wyprawia przedziwne harce i żarty stroi z marynarzy słodkich wód. Nie, za żadne skarby nie ośmieliłbym się wybrać łodzią na dłuższą wycieczkę.

W kajaku siedzisz sobie nisko, dzięki czemu środek ciężkości spychasz w dół i nie masz tego kołysania niepotrzebnego, jak na wzburzonej morzu co najmniej. Kajaczek sunie równo, spokojnie, bezpiecznie, łatwy jest do zwrotów, a łódź ta nabawiła nas strachu przed przymusową kąpielą w ubraniu, co nie należy zdaje się do zbyt miłych rozrywek zwłaszcza na oczach wielu ludzi.

Zmordowani, wyskakujemy na prawy brzeg Niemna. Dzięki uprzejmości właściciela p. Konopackiego zaglądamy do zabudowań fabrycznych.

Z góry widać na rzece potężne szeregi tratw przybyłych tu z odległych puszczy.



PLYNIE DRZEWO DO GDAŃSKA.

Brzozy, olchy, dęby. Biedne, czekają na swą ostatnią w życiu kolejkę.

Zgrzyt łańcuchów. Mocny chwyt żelaziwa.

Wędrują pnie z rzeki w górę po stoku, do fabryki.

Żar pieców. Gorąco. Syk pary.

Oblupana kora. A potem już idzie składnie.

Pomysłowe maszyny, ostre noże.

Odpada, zwijając się w bolesnych skurczach, cienka deseczka. Potem druga, dziesiąta, setna...

Ciężka, olbrzymia prasa, gniecie, ściska, prasuje zwitki.

Znowu operacja. Noże. Wyrasta kształt, forma.

Kocioł z klejem. Obrzydliwy odór. Klejenie.

Już po bolesnych cięciach. Jutro gotowa dykta buja w powietrzu jako część składowa samolotu. Wysoko nad ziemią buja, lub jako kajak pruje fale rzek.

Wędruje na eksport w formie pudełek do Anglii, Jugosławii, a nawet na Ceylon.

A Niemen dalej dźwiga tratwy...

Uciekamy i zwiedzamy jeszcze bardzo porządnie prezentującą się osadę robotników fabrycznych, wybudowaną na wysokim brzegu rzeki i wracamy chwiejącą się żartobliwie łodzią.

○ ○ ○

Nazajutrz pędzimy dalej mijając znowu całe masy tratw, w mniejszej ilości jednak, niż powyżej Zelwian.

Mniej więcej do Migowa Niemen przeważnie jeszcze monotony, z tą jednak różnicą, że nastrocza nam dużo trudności swymi mieliznami. W rewanżu zaś, jakby na osłodę, odkrywa przed nami szereg wspaniałych zalesionych wysp, na których zda się mogliby znaleźć schronienie nawet przestępcy, takie to odludne partie.

Cisza aż w uszach dzwoni.

Bawiąc się w Robinsonów przystajemy tu często dla odpoczynku, plażowania i kąpieli.

Na prawym, wysokim i stromym brzegu rozciąga się wieś Migowo. Przybijamy i za chwilę gawędzimy z kobietami, przybyłymi tu po wodę. Osada bowiem cała zapatruje się w wodę wprost w rzece. W wysoko położonej wsi nie ma źródeł. Żal patrzeć jak daleko i ciężko nosić trzeba ten prosty a niezbędny napój po wspinającej się w górę ścieżce.

W pocie czoła wnosimy kajak i ekwipunek do stodoly zamożnego gospodarza, którego zabudowania jak twierdza panują nad urwiskiem. Rozmawiając o stosunkach w okolicy palimy tytoń, który choć częściowo ratuje nas przed muchami.

Do chaty wejść niesposób. Praży nas po twarzach bolesny grad rozpanoszonych, rozhukanych much. Ściany czarne od nich, że aż ciemno w chałupie. Siadamy na

progu stodoły posilając się jajecznicą, razowym chlebem i mlekiem.

Chłopi tutejsi żyją nienajgorzej. Rola dobra, pastwiska też, woda i ryby są, drzewo jest. Wieś robi wrażenie zasobnej, podobnie jak wszystkie w okolicy. Wraca właśnie bydło z paszy, a ludzie z robót polnych. Siadają spokojnie odpędzając muchy, do zastawionych na dworze ław, gdyż wewnątrz niesposób wytrzymać. Zaduch nieprzewietrzanej izby, żar rozpalonego pieca i tabuny natrętnych, oszalałych much bronią wstępu.

Zapada wieczór. Robi się coraz ciszej w gwarnej dotąd wsi...

Wczesny ranek. Gryzieni przez muchy dość wcześnie zwialiśmy z zabudowań na rzekę chcąc jeszcze przed południem przybyć do ulubionego grodu Stefana Batorego.

Od Migowa krajobraz stanowczo zmienia się na korzyść. Niemen płynie korytem głęboko wżartym w podłoże. Boczne dopływy mniej zasobne w wodę i słabiej erodujące, porządnie muszą pracować, by sprostać pracy niwelacyjnej Niemna. Po obu stronach można obserwować strome, w kształcie litery V wycięte dolinki, do złudzenia przypominające mniejsze jary podolskie, choćby z okolic Zaleszczyk (Kryszczatyk).

Nurt staje się wartki, brzegi coraz częściej wysokie i strome. Zbliżyliśmy się do wspomnianego wyżej pierwszego przelomu Niemna pod Grodnem. Świadczą o tym bystrza, co prawda słabe jeszcze, jednak burzące wodę sterzcącymi z dna kamieniami, co jak złośliwe psy morskie pyskiem wyzierają z wody.

Śmieje się z nich nasz „Wilk“. Na dnie ma bowiem ośm podłużnych listewek ochraniających, które już lepsze bystrza i głązy na Prucie widziały.

Zgrzytają pod naporem raźnie pędzącego kajaka. Cała

nasza obawa zwraca się teraz nie w kierunku dobrze zabezpieczonego dna, lecz steru.

Mijamy leżące nad rzeką osady. Coraz więcej, coraz dłuższy ich szereg. Chaty ustępują zwolna miejsca domkom przedmiejskim. Zbliżyliśmy się do Grodna.

Chcąc uczcić przybycie nasze do największego miasta na trasie wycieczki przybijamy w pierwszym lepszym miejscu do brzegu, celem zrobienia toalety.

A więc najpierw kąpiel, potem golenie, czesanie, jedynym słowem metamorfoza.

Podobała się ona zapewne niedaleko plażującym osobkom, które patrząc początkowo spod brwi, później coraz śmieiej spozierały na eleganckich wojażerów chcących się podobać nawet w kajaku.

Opodal zebrała się gromadka małych chłopaków łowiących ryby na wędkę. Zbliżyli się i otoczyli nas półksiężycem.

Wreszcie ubrani puszczamy się w dalszą drogę do miasta. Obuwie i odzież przeszkadza nam niesamowicie. Pot kroplami występuje na czoło. W kilka minut czujemy, że wilgotna bielizna przylega i żalujemy, żeśmy się „zmetamorfizowali“.

Półtora kilometra jazdy w ubraniu dało się nam solidnie we znaki. Trudno, trzeba płacić za przyzwyczajenia i nakazy cywilizacji zwłaszcza, gdy się ma do niej pretensje.

Przez szereg dni spędzonych na wolnym powietrzu nie krepując ciała ubraniem odzwyczailiśmy je od więzów narzuconych. Teraz nastąpiła reakcja zbuntowanego ciała. To też śpieszymy, by odsapnąć w cieniu przystani.

Pierwszy spotkany kierowca kajaka objaśnia nas życzliwie o położeniu upragnionego portu.

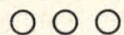
Parę minut wspaniale szybkiej jazdy, ostry skręt i oto



GRODNO. POTĘŻNE MURY ZAMKU STEFANA BATOREGO KRÓLUJĄ NAD NIEMNEM.

przybijamy do drewnianego pomostu Wojskowego Klubu Wioślarskiego.

Odsapnęliśmy spoglądając teraz z podwyższenia na Niemen. Zasiany wprost łodziami przewijają się zgrabnie między murami miasta, które rozsiadło się po obu brzegach ze swymi 50.000 mieszkańców.



Potężne mury zamku Stefana Batorego królują na wysokim, dumnie sterczącym wzgórzu. Stary ten zamek królewski na Górze Zamkowej został przebudowany przez Stefana Batorego, który tu życie zakończył w r. 1586. Za króla Jana III sejmy Rzpltej przeniesione do Grodna odbywały się tu właśnie, na Starym Zamku. Potem, po upadku państwa polskiego zamek przechodził smutne koleje, był nawet zamieniony na koszary rosyjskie. Po odzyskaniu niepodległości w r. 1928 powstaje „Kuratorium Zamku“ dla jego konserwacji i dla badań archeologicz-

nych¹⁾, dzięki którym można dziś odtworzyć sobie przeszłość i znaczenie średniowiecznego Grodna.

Między innymi natrafiono na nieznaną a dawne zabudowania czy resztki zabudowań z IX—X w. Badania przeprowadzone tu na Zamku, jak i w świątyni na Kołoży, przedmieściu Grodna, mówią o wysokiej kulturze założycieli z czego wniossek, że miasto musiało być centrum sztuki i kultury nad Niemnem. Tu krzyżowały się szlaki handlowe a dogodna przeprawa przez rzekę, jak i obronność, zadecydowały o wyborze miejsca na założenie grodu, który był ostoją przed napadami pogańskich plemion.

Z tymi myślami zachodzimy powoli, by obejrzeć zamek. Zatrzymuje nas stróż.

— Zwiedzać nie można.

— Dlaczego?

— Bo prowadzi się teraz prace archeologiczne.

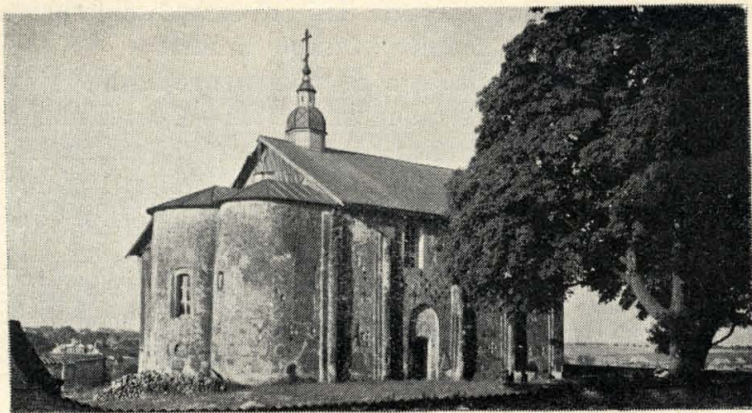
Patrzymy z rozczarowaniem na zamek, dziedziniec. U stóp naszych rozdarte łono wzgórza, pokrajane w najrozmaitsze figury geometryczne, szczyrzy do nas swe czarne oblicze. Uwija się kilku robotników, a stróż dumnie pali papierosa.

— A może jednak — próbujemy, — jesteśmy tu tylko w przejeździe.

— Nie, tylko naukowo pracujących, archeologów, można wpuszczać.

Musielismy niestety zrezygnować, bo ani nam się śni być naukowo pracującymi. Owszem, mamy urlop, jesteśmy bezrobotnymi a tu taki upał, że czuję krople potu spływające po kręgosłupie, rozpacz!

¹⁾ J. Jodkowski — Grodno wczesnośredniowieczne — Warszawa 1934.



CERKIEWKA NA KOŁOŻY, PRZEDMIEŚCIU GRODNA, JEST PRZEDMIOTEM
BADAŃ ARCHEOLOGÓW.

Rozgrzane mury miasta nie dają tej ochłody co rzeka i wiatr nad nią.

Ze spuszczoneymi nosami wracamy, spoglądając w dół na rzekę, na ludzi, robiących stąd wrażenie karłów, na dalekie peryferie miasta, na sterczące wieże i kominy fabryczne, na piękne wzgórza w oddali i lekko zamglony horyzont. Widzimy stąd dalszą naszą trasę nieznaną i dzięki temu tym bardziej pociągającą i Niemen, co jak nieruchoma wstęga przeplata krajobraz i gubi się w nieznanym.

Opuszczamy niegościnnie Zamek i jego cerbera klnąc po lwowsku, ile wlezie.

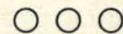
Chcąc zabić smutek wyszukujemy godną nas restaurację i bierzemy się do niszczenia darów boskich. Padły ofiarą duże ilości potraw, bo włóczęgi, wiadomo, mają niezgorsze apetyty. Zakończyliśmy golonką grodzieńską, którą danym nam było spożyć po raz pierwszy w życiu.

Widocznie prześladował nas w Grodnie pech, bo wną-

trze wspaniałej fary oglądaliśmy tylko przez kraty, jak średniowieczni pokutnicy, odurzeni ciszą i chłodem poważnej i pięknej świątyni.

Wobec prześladowającego nas pecha poszliśmy lyknać i to duże ilości, bo aż pięć porcji... wody sodowej i tyleż porcji lodów, aż ustąpił na chwilę przynajmniej z ciała obrzydliwy żar.

Zwiedzanie miasta w lecie, gdy rozpalone mury zieją ogniem, gdy płuca odczuwają brak powietrza, gdy kurz uliczny miesza się z potem, tworząc obrzydliwą powłokę na twarzy, a bielizna szczelnie przylega do ciała, uniemożliwiając w ten sposób przystęp powietrza, zwiedzanie miasta powtarzam, w takich warunkach nie jest zbyt zachęcające. Mimo to tłukliśmy się po mieście wyszukując z góry już upatrzone objekty, między którymi znalazły się barokowe kościoły z XVI, XVII i XVIII w. a także dom i pomnik Orzeszkowej, wreszcie nowe gmachy państwowe.



Następnego dnia po zwiedzeniu miasta zdecydowano o czasie wyjazdu. Wpadliśmy zatem na przystań przygotowując wszystko do dalszej tułaczki.

Czerwony jakiś nagi grubas pomagał nam pakować, a gdyśmy wsiedli trzymając w ręku gotowe wiosła szepnął pieszczotliwie:

— O, woda poniesie teraz jak czwórka!

— Jak szybki prąd poniżej Grodna?

— Bywa miejscami i 10 km na godzinę — brzmiała odpowiedź.

Jak dalece podobne „objaśnienia“ i wskazówki trzeba brać na sito, o tym przekonaliśmy się na własnej

skórze niebawem, bo „Wilk“ posuwał się najwyżej 10 km przy wydatnej pomocy wiosel. Nie wzięliśmy sobie tego zbyt głęboko do sportowego serca, jako że się nam wcale nie śpieszyło.

Oto z obu stron oglądamy piękne grodnianki bądź to kierujące kajakami i patrzące na nas z góry, bądź to rzucające się w wodę, jak przystało na godne córki Niemna.

W międzyczasie fotograf szalał. Manewrował aparatem i udawał, że z trzaskiem chwytając na film co piękniejsze krajobrazy zwracając uwagę przede wszystkim na morfologię terenową.

Pomknęliśmy dalej mijając bystrza i nie obejrzelśmy się, kiedy przed nami z lewej strony ukazały się Płaskowce. Oczywiście nie obeszło się bez potężnej mielizny a po kilku kilometrach zamajaczyła w lekkim już mroku wieś Niemnowo.

— Patrz dobrze w lewo, by nie minąć kanału i nie wpaść na Litwę.

W dobrych już ciemnościach zalsniła przed nami wąska struga wody kanału Augustowskiego, na którym mieliśmy zakończyć ostatni etap naszej wycieczki.

Kanał ten nie ma takiego znaczenia jak Ogińskiego. Łącząc Wisłę z Niemnem przez Biebrzę, Nettę i Czarną Hańczę dziś odgrywa raczej lokalną rolę, choć w XIX w. służył bardzo ważnym celom handlowym, kiedy to Królestwo Kongresowe uzyskało w ten sposób wodny dostęp do morza i uwolniło się od celnych szykan pruskich.

Projektodawcą budowy kanału był gen. Prądzyński a dzieła dokonał korpus inżynierów wojsk polskich z gen. Maletskim na czele. Z kajaka wyraźnie możemy odczytać na ścianach słuz nazwiska inżynierów wojskowych z odnośnymi datami budowy. Pracę ukończono

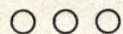


około r. 1840 staraniem Banku Polskiego, założonego przez ks. Druckiego-Lubeckiego, ówczesnego ministra finansów Królestwa Kongresowego dbającego, podobnie jak Ogiński, o podniesienie gospodarcze kraju.

Kanał Augustowski krajobrazowo lepsze robi wrażenie niż kanał Ogińskiego. Ciągnie się on między Niemnem a Mikaszówką w poprzek wzgórz morenowych na przestrzeni 30 km, wykorzystując bieg Czarnej Hańczy. Na kanał w dalszym ciągu jak na wstęgę nanizane są piękne perły-jeziora, raz po raz przerywające krajobraz niespokojnymi swymi falami. Za Augustowem otaczają go bagna nad Nettą i Biebrzą.

Całość kanału imponująca. 102 km połączeń wodnych, gdzie umiejętnie wykorzystano tafle przepięknych jezior i wstęgi rzek, zamkniętych w ciemną i poważnie uroczystą głębię puszczy augustowskiej.

Czarna Hańcza wypływając na wysoczyźnie pojezierza suwalskiego tu, w biegu dolnym, ma dość jeszcze bystry nurt hamujący znacznie nasz pęd. Oto ogólne ramy krajobrazów, z którymi mamy się zetknąć w ostatnim naszym odcinku.



Trzyście śluz dzieli nas od Augustowa. I znowu potężna siła wody dźwiga nas w górę, znowu rozkołysane balwany wypuszczone z okien śluz igrają z kajakiem. Dobrze znane nam wrażenia z poprzednich dni włóczęgi. Daleko już za nami Pińsk, Polesie, Jasiółda, Szczara i Niemen. Przed nami jeziora Augustowskie do których śpieszymy, by zdążyć na czas przed zakończeniem ferii.

Otoczają nas mieszane lasy puszczańskie, z przewagą sosen. Zapach żywicy nie odstępował na krok. Na małych

wyrębach polany łąkowe, gdzie pachnie znów aromatyczne siano. Ludność cicha i spokojna flegmatycznie i obojętnie oddaje się swym zajęciom.

Mijamy most na szosie Sopoćkinie—Sonicze i wpadamy z kanału w objęcia Czarnej Hańczy. Zrazu, by nas nie zniechęcić, nie wyrządza krzywdy, potem jednak mniej więcej w okolicy Dąbrówki gwałtownie chce wryć się nam w pamięć.

Oto szybki nurt stara się zepchnąć nas w dół, co mu się oczywiście nie udaje, ale skutek jest taki, że bardzo wolno posuwamy się w górę rzeki. Otaczają nas wysokie ściany brzegów ściskających w tym miejscu zwężoną i szybką Hańczę. Mozolnie pracując wydostajemy się z przelomu, poza którym sytuacja się zmienia na naszą korzyść, jednak wiosłem trzeba bez ustanku „pompować“, gdyż woda znosi.

Dopiero za drugą śluzą, w okolicy Wólki Rządowej, nurt słabnie i nie męczy.

Spragnieni mocno oglądamy się za wodą do picia. Aż tu za nagłym zakrętem w krzakach nadbrzeżnych stoi chłopaczysko i patrzy jak czarny melancholik w pływak swej wędki, czy nie drgnie...

Zdrętwiał biedak na nasz widok, przerażony nagłą i cichą wizytą.

— Chłopcze, jest tu gdzie blisko woda do picia?

— Jest — wyjął — na tamtym brzegu.

— Przewieziemy cię tam, damy parę groszy, za to przyniesiesz nam wodę w tej butelce, zgoda?

Wzruszył ramionami, powoli ściągając wędkę i czmychnął w krzaki.

— Przeraziłeś go swym wzrokiem.

— Albo ty aparatem.

Chłopak widocznie nie miał dotąd szczęścia spotkać

w życiu tak podejrzanych osobników, z których jeden przyjaźnie wywraçał białymi galkami ocznymi jak rodowity Papuas, a drugi mierzył aparatem fotograficznym.

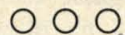
Wobec tego piliśmy dopiero przy następnej służbie. Słońce prażyło niemiłosiernie, a nie zawsze udawało się płynąć cieniem. Kąpiel zatem następowała raz po raz.

Wąska szyja tunelu leśnego skręca ciągle w najrozmaitszych kierunkach, odsłaniając piękne partie krajobrazowe. Mijamy wieś Rygol i dochodzimy do Mikoszewki, wyrwawszy się z objęć Czarnej Hańczy.

Odtąd zaczyna się prawdziwie morska jazda. Dziewięć jezior wylewa się na nasze spotkanie: Mikoszewo, Krzywe, Paniewo, Orle, Gorczyckie, Studzieniczne, Białe, Rozpuda i Necko nie licząc innych, pozostawionych na boku. Wspomniane jeziora dają w sumie ponad 20 km jazdy po zmarszczonej tafli.

Na zakończenie wycieczki używamy. Dla nas „południowców“, jazda po tak dużych i licznych jeziorach wydaje się podróżą co najmniej po Bałtyku.

Wszystkie owe zbiorniki znajdują się na mapie Wojskowego Instytutu Geograficznego w podz. 1:100.000. Pas 33 słupek 36 — sekcja Augustów, z wyjątkiem jeziora Mikoszewo, którego środkową i wschodnią część obejmuje pas 33 słupek 37 — sekcja Sopoćkinie.



Wydłużone zwierciadło jeziora Mikoszewo jako pierwsze przyjmuje nas gościnnie, choć wiaterek dmie od zachodu, napelniając uszy nieustannym lekkim szumem. Drogi pozornie zamyka zalesiona wyspa, za którą dopiero wolno używać prawdziwego jeziora.

Pławimy się wprost w wietrze i słońcu, obryzgiwani



ZBLIŻA SIĘ DO NAS Z ZACHODU POMIDOROWY W SŁOŃCU PŁAT ŻAGLA.

od czasu do czasu strzaskanymi strzępami fal, które jak dobroczynny tusz, zlewają gorące ciała.

— Szkoda, że nie mamy żagla.

Westchnienie.

— Prulibyśmy sobie wodę spokojnie i cichutko, a tak...

— A tak pompuj wiosłami marzycielu, bo stoimy w miejscu.

Jak na ironię zbliża się do nas z zachodu pomidorowy w słońcu płat żagla.

Leci przechylony kokieteryjnie na bok zwinny kajaczek.

Jak orzeł patrzy z góry na naszego „Wilka“, który aż skurczył się ze wstydu, zmalął przed tą pańską postacią swego krewniaka po fachu.

Milcząc popłynął z wściekłością naprzeciw bryzgających sfalowanych grzebieni...

Mikoszewo, to zbiornik wodny wydłużony na kształt rowu. Cechą charakterystyczną tych jezior to właśnie ta forma jak gdyby rowów czy rynien równoleżnikowo przeważnie ułożonych. Niewysokie brzegi gęsto porośnięte włączają w wodę płuczając wprost pnie drzew w czystym i chłodnym jeziorze.

Korzystając z chwili ciszy składamy wiosła napawając się widokiem otaczającej nas natury. Sepleniące czy belkocące coś fale odbijają w sobie co chwilę wąski, pogodny pas nieba, po którym spokojnie płyną kajaki-cumulusy¹⁾). Całość ujęta ze wszech stron częścią ciemnej, augustowskiej puszczy.

Mocno już ona naruszona, podobnie jak niemeńska jej siostrzyca. Pocięta liniami leśnymi, które skreśliły ją w szachownicę, broni się.

Człowiek, pomny praw ochrony przyrody, powoli ale stale wdzierał się coraz dalej i dalej w głąb, atakując ją od krańców tak, że puszcza zmaląła do dzisiejszych granic ostatkami stawiając mu czoło.

Lekki wiatr.

¹⁾ Cumulusy — chmury kłębiaste, jasne z ciemniejszą podstawą

Potężne olbrzymy drzewne szumią nam dawne, bardzo dawne dzieje. ...Działo się to w dyluwium przed tysiącami lat...

Pogniewało się skąpe słońce...

Zawitały mrozy...

Z dalekiej północy, z gór Skandynawskich, sunął powoli groźny, tajemniczy, biały najeźdźca...

Lodowiec...

Skurczyła się biedna, skostniała z zimna ziemia.

Zamarły rośliny...

Zwierzęta cofały się na południe lub ginęły na miejscu.

Na zmianę przychodziły na ich miejsce nowe, z północy przygnane.

Zamarło wszystko... Ślepy strach...

Ulitowało się wreszcie słońce... Wypowiedziało walkę najeźdźcy. A biały potwór szalał...

W walce ze słońcem uderzył strumieniami wody. Żwir, piasek, muł zalega olbrzymie połacie...

Erratyki, głazy ogromne zaścielają ziemię.

Atakuje słońce... Cofa się nieco lodowy najeźdźca... Jak dla nabrania rozmachu...

Znowu naprzód... Znowu ta sama historia. Wojna! Zacięty, bezkrwawy bój!

Zwyciężyło wreszcie słońce-życie... Uszedł na północ biały najeźdźca...

Na pobojowisku zostały ślady zmagania potężnych żywiołów...

Oto owe skalne materiały potworzyły piękne wzgórza morenowe, a wody wypełniły wgłębienia, tworząc wspańnięte oka jeziorne, które pasem całym jak wieńcem szanćców zamykają Polskę od północy, składając się na t. zw. pojezierze.

Różne otrzymały one nazwy w spadku. Ta partia,

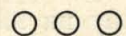
w której się obecnie znajdujemy, to pojezierze augustowskie wchodzące w skład t. zw. suwalszczyzny, która też przeszła dyluwialną historię.

Porosły te obszary od krańca do krańca, na całej przestrzeni, tworząc w nagrodę wraz z garbami morenowymi i jeziorami typowy, a piękny krajobraz pojezierny...

Skończyła opowiadanie puszcza.

Słuchamy z zajęciem tej legendy o epoce dyluwialnej.

Dobrze nam tutaj. Wiatr ustał, cisza...



Oto znowu z dalekiej bramy puszczańskiej co ścianę jej zwartą otwiera, odrywa się jasny motyl żagla, wyraźnego na ciemnym tle lasu.

Odrywa się... leci... cichutko przemyka się obok nas.

— Czołem.

— Czołem — odparliśmy jak echo.

Powitanie i odpowiedź budzą nas i wrywają z magicznego wpływu przyrody. Jeszcze bowiem przed oczyma staje groźny wróg północy, swymi językami lodowcowymi zagarniający te obszary.

Leniwie płyniemy dalej.

Dopiero teraz uprzytomniłszy sobie, że nolens-volens udała się nam głodówka, że już od pięciu godzin niczego nie mieliśmy w ustach, że powietrzem choćby najzdrowszym żyć nie można, że pracując (rozumie się wiosłem) należy stosować racjonalną kuchnię, a że nasz żołądek nie odznaczał się zbytnią grzecznością, daliśmy mu spore porcje na pożarcie. I uspokoił się.

A umiał bestia w ciągu dnia i siedem razy upominać się o podatek.

Wąska gardziel otwiera nam drogę w kierunku jeziora Krzywego. Malutkie, wąskie, zasługujące na nazwę jeziorko, zarosnięte u wstępu trzciniami nie wywiera, bo nie może wyrzucić na nas wrażenia po dopiero widzianym Mikaszewie. Wydaje się, jakby umyślnie chciano skrócić nasz popas tutaj, bo oto koniec. Śluza i przed nami nowe, sercowatego nieco tym razem kształtu, jezioro Paniewo.

Znowu borykamy się z wiatrem na otwartej wodnej przestrzeni, znowu zazdrośnie mijamy dwa dumnie wydęte żagle i... kanał.

Mijamy jadącą zwolna w tym samym co i my kierunku łódź, wyładowaną prowiantem i górą plecaków, a popychaną ciężkimi wiosłami przez dwóch żołnierzy, co do których można się było orientować jedynie po czapkach wojskowych, jako że odkryte, grzeszne ich cielska lśniły biało-matową nagością.

— Co to i dla kogo?

— E, to tam przed nami jedzie PW.

— PW? Skąd? — krzyknął z zaciekawieniem zaintrygowany sternik, gdyż od kilku lat pracuje w tej organizacji na własnym terenie.

— Ze Śląska.

— Ilu ich?

— Trzyście kajaków. Pan kapitan i dwudziestu pięciu studentów.

— Wio!

Jedziemy chcąc połączyć się z tą okazałą flotą. Ale dzielni marynarze, niebaczni na swą ciężką, napełnioną prowiantami łódź, darli widocznie dobrze naprzód.

Długo jeszcze targaliśmy wiosła, a śląskich kajaków nie widać.



DZIWNIE WDZIĘCZĄC SIĘ BRZEGAMI, ZLEKKA FALUJE BIAŁAWA TOŃ JEZIORA.

Tymczasem wpadamy na jezioro Orle zupełnie przypominające jezioro poprzednie.

Przestrzeń tych jezior tworzy wyrwę w zwartej puszczy, gdyż nad nimi jak też i nad kanałem, jako świetną drogą wodną, powstają osady. Stąd to ruchliwa gospodarka ludzka wycięła część drzew puszczańskich i stąd to nikną nam na krótkiej przestrzeni lasy, a pojawiają się chaty.

Dopiero za jeziorem Gorczyckim, podobnym raczej do rozlewnej rzeki niż jeziora, już za Żylinami i Czarnym Brodem, wjeżdżamy znowu w strefę równego jak tor kanału na dziale wodnym między Netką a Czarną Hańczą.

Centrum puszczy szumiącej starodrzewiem.

Po prawej stronie, ku północy, mijamy piękne jezioro

Serwy, udostępnione obecnie od czasu wybudowania schroniska przez Ministerstwo W. R. i O. P.

Obecnie znosi nas lekki prąd w stronę jeziora Studzienicznego. Puszcza i kanał tworzy w tym miejscu wspinałą aleję, gdzie na końcu, w punkcie, w którym aleja skręca pod kątem na zachód, ujrzelśmy przed sobą ściganą flotę.

Piękny widok!

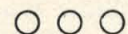
Trzyście kajaków rzędem sunie jeden za drugim po zmaconej wodzie kanału. Jak srebro błyszczą w słońcu wilgotne pióra dwudziestu sześciu wiosł, poruszanych miarowo rękoma na czekoladę spalonymi.

Dzielne śląskie zuchy!

Dopędzamy ich na XII śluzie w Swobodzie, gdzie karnie przenoszą kajaki na drugą stronę tak, że zanim nas prześluzowano, znaleźliśmy się razem po przeciwnej stronie komory.

W pierwszej łodzi, jak żuraw torujący stado drogę, siedzi kapitan z mapą w ręku. Co chwilę śmiejącym okiem lustruje swą gromadę.

Karnie płyną...



Słońce tymczasem pokrywa się chmurami. Zrywa się gwałtowny wicher, tak silny, jakiego nie mieliśmy w ciągu całej naszej włości. Grozi burzą.

Strapiiony kapitan zazdrośnie patrzy ku nam. Odpowiadamy tylko za siebie. On za całość.

— Płynąć za mną, lewym brzegiem! Podaj dalej! — krzyknął donośnie.

— Podaj dalej — powtórzyli chłopcy.

— Wolno a ciągle!

Skupiła się flota, posłuszna rozkazowi. Kilku odważniejszych wyjechało z rzędu, lecz po chwili wypełnili lukę.

...A wiatr na dobre zaczął smagać jezioro. Huczał w uszach. Piana złośliwie rozpryskiwała się na falochronie. Gniewnie wzdymające się jezioro w krótkich odstępach czasu podrzucało już nie na żarty naszego „Wilka“.

Borykał się biedaczysko rozpaczliwie i parł naprzód.

Ponieważ początkowo mieliśmy kurs na południowy zachód, a wiatr dął z zachodu, smagał nas przeto skośnie z przodu od prawej, a fala boczna groziła wywrotką.

Chwila narady między sternikiem a fotografem, czy jechać wzdłuż południowego brzegu i narażać się na ciągle spychanie falą grożące przymusową kąpielą, czy wziąć kurs wprost na zachód, dziobem przeciwko wiatrowi i grzbietom wodnym.

— Biorę ster w prawo. Raz!

— Dobra nasza. Dwa!

Wzarliśmy się wiosłami w fale spienione gniewem, wcale niedwuznaczne mające względem nas zamiary.

Prysnął nagły deszcz wbijając się milionami igiełek w zbalwanioną powierzchnię wody.

Ciężko dysząc parliśmy „Wilka“ naprzód. Ciężył nam, jak nigdy dotąd.

Świat przesłonił się mgłą dżdżu. Już i brzegów widzieć niesposób.

— Obejrzyj się, gdzie flotylla?

— Zmieniła kurs na nas.

— Bravo! huknęliśmy przez wichurę.

— Hurra!

Jak na regatach w Cambridge pompowaliśmy, ile wlaźło. Jezioro jednak nie żartowało.

Mówią „im dalej w las, tem głębiej wlaź“, co i my

teraz stwierdzamy. Przy wschodnim brzegu jakoś tam jeszcze było, bo i łód blisko i wiatr nie tak złośliwy. Ale gdy ujechaliśmy około jednego kilometra, siepnął w nas z całej siły, parł w nagie piersi, że chwilami zdawało się, iż w miejscu stoimy.

Wdzierał się do płuc i oddech zatykał, wznosił falami dziób kajaka do góry po to, by za chwilę na odmianę ster mignął nad powierzchnią wody. To w dół, to w górę.

Groźna huśtawka przedłużała się coraz bardziej. We mgle zniknęła za nami ślaska flota.

Byliśmy sami...

...Po półgodzinnym wreszcie szamotaniu ulewa przecieciała na wschód, a po chwili osłabł wiatr. Ukazało się słońce, w promieniach którego zaśniły przed nami zwilżone drzewa, tulące cudowną kaplicę N. M. Panny we wsi Studzienicznej, tuż na brzegu leżącej.

— Ster w prawo! Tam ujście!

Przed nami na wprost wąziutki śluzowy przejazd na jezioro Białe, za nami wyraźnie teraz widoczne brzegi jeziora Studzienicznego.

Pięknie rozczłonkowane wybrzeża bądź to wpychają się palczastymi półwyspami w jezioro, bądź to wciągają wodę w głęboko wcięte zatoki.

W okalającej nas puszczy jeszcze wyje wichura, ale pogoda stanowczo zwyciężyła i korzystniej wpływa na fizjognomię jeziora, które w ciągu pół godziny, specjalnie jakby dla nas, przybrało swój złowieszczy wyraz...

Drwiliśmy jeszcze tym razem z niego, choć mało brakowało, żeśmy się nie cofnęli przed jego gniewem.

Kochany kapitanie i wy, chłopcy! Jeżeli wam przypadkowo wpadnie w ręce ta broszurka, przeżyjcie jeszcze raz tę wspaniałą emocję, gdy witały nas jak bo-

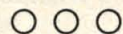
haterskich wikingów rozradowane głosy dziewczęce z kolonii szkolnej przy XIII-tej śluzie, emocję, kiedy zwalczyliśmy wicher, deszcz, falę, mgłę i kiedy buta w nas wstąpiła po zwycięstwie!

Z daleka jednak patrząc nie uważam tego za czyn godny pochwały. O ile kajak na jeziorze w czasie pogody nie jest narażony na niebezpieczeństwo, które jest prawie wykluczone, o tyle ten sam kajak w czasie silnego wiatru i fali jest podatny do wywrotki.

Inna sprawa, że o ile chodzi o emocję sportowego wyczynu, to była ona wielka, bodajże największa w czasie całej wędrowki, ale w takich wypadkach lepiej nie ryzykować i silną falę przeczekać.

Za chwilę odpoczywamy przy XIII śluzie w „Przebiegi” posilając się intensywnie po męczącej pracy fizycznej.

Most na szosie prowadzącej do Augustowa i oto otwiera się przed nami największe ze spotkanych jezior — Białe.



Dziwnie wdzięcząc się porzeźbionymi pięknie brzegami, faluje spokojnie białawą, jakby z lekka wapienną wodą.

Jednym swym zachodnim krańcem podchodzi pod stromy i wysoki brzeg, po którym biegnie tor kolejowy i szosa Suwałki-Grodno, drugim zaś krańcem opiera się o wąską gardziel oddzielającą je od jeziora Studzienicznego. Po zachodniej stronie działu wodnego w dorzeczu Wisły, bo tu się już znajdujemy, odpływa woda z jeziora Białego w kierunku jeziora Necka, a stąd do rzeki Netty odwadniającej je na południe.

Wspaniałe, wielkie, lekko sine jezioro!

Naprzeciw nam wybiegają raz wraz zalesione półwyspy zwężające szerokość z 1300 m do pół kilometra. Piękną, siedmiokilometrową jazdę po zwierciadle wodnym psuła nam myśl, że oto już niedaleko Augustów i kres wycieczki. Wobec tego zatrzymujemy się na ostro z północy wrzynającym się piaszczystym półwyspie, by nasycić się z brzegu otaczającym nas krajobrazem.

Z dala na zachodzie za zakrętem widać moc uwijających się żagli, co jak labędzie, zda się, w bezruchu swym opanowują jednak przestrzeń wodną i lawirują po jeziorze.

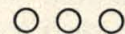
Zrywamy się i my wypływając naprzeciw.

Zwolna zbliża się zachodnia zatoka. Żagli coraz więcej. Wyraźnie czernieją na białym płótnie wielkie numery i znaki. Od przypadkowo spotkanego znajomego dowiadujemy się, że jutro odbędą się tu regaty.

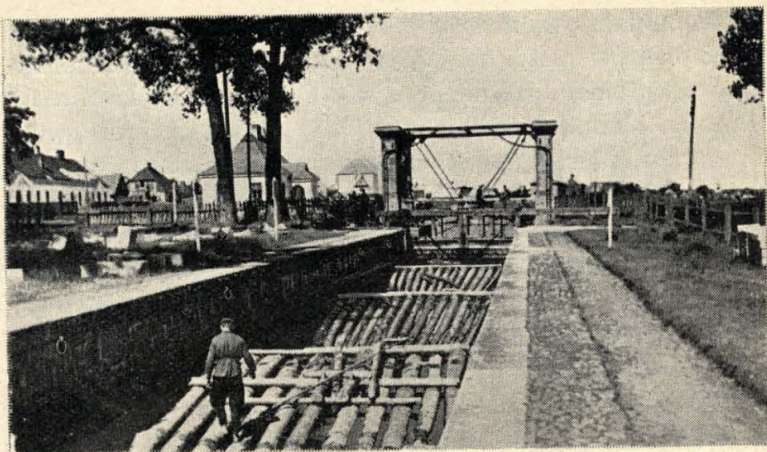
Na przygotowania zjechała brać wodna już kilka dni przed terminem z bliskich i dalekich okolic, by próbować szczęścia na Białym!

Tymczasem jednak wiatr prawie że ustał, toteż łatwo bierzemy jedną żaglówkę po drugiej i niebawem zawiązujemy do przystani tuż za laskiem, u stóp nasypu kolejowego, po czym przedzierzgnąwszy się w cywilizowanych ludzi, ze smutkiem żegnamy „Wilka” udając się pieszo do niedaleko leżącego Augustowa.

Pocieszamy się jedynie planem poznania wód jeziora Necka i Rozpudy.



Augustów odznacza się oryginalnym i pięknym położeniem, wyrósł bowiem już na zachodniej obecnie kra-



W AUGUSTOWIE... NAD KANAŁEM AUGUSTOWSKIM.

wędzi puszczy, mocno w tym miejscu przetrzebionej przez Niemców w latach wojny. Otoczony od północy jeziorem Necko, Rozpudą i Białym, od południa jeziorem Sajno, robi wrażenie jakby polskiej Wenecji. Wodna struga rzeki Netty łączy się za pośrednictwem kanału Bystrego z jeziorem Sajno. Stąd to chodząc po ulicach miasta ciągle widzisz mosty, kanał, rzekę i duże powierzchnie jezior. Od wschodu podchodzą pod budynki miejskie rzadkie już forpoczty puszczy, od zachodu lekkie wzgórza. Całość położenia piękna i rzadka, co wpływa na czystość i zdrowotność powietrza tak, że wystarczy wyjść za mury miasta, by znaleźć się na letnisku.

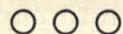
Augustów założony w XVI w. przez króla Zygmunta Augusta, rozwijał się powoli z powodu częstych pożarów i nie przekracza dziś liczby 13.000 mieszkańców. W dobie obecnej rozbudowa miasta, dziś powiatowego, widoczna jest na peryferiach, gdzie oglądać można wy-

kupione pod budowę parcele. Centrum naogół mrowane, z dużymi gmachami państwowymi, poza tym przewaga domów drewnianych, co tłumaczy się bogactwem bliskich lasów.

Z wielu względów pociąga turystę miasto i ziemia augustowska. Tędy przechodzi wschodnia granica zasięgu cisa i jaworu, tędy przechodzi południowy kres zasięgu smacznej sielawy, tu w wodach kryją się rącze pstrągi, a w lasach można jeszcze spotkać wspaniałego losia, podobnie jak i na Polesiu.

Dziką radością napętnia się serce na widok nowo-wzniesionych przystani sportu wodnego. Setki łodzi czekają na swych panów, których duża liczba uwija się po bliskich jeziorach.

Znajdujemy wspaniałe pomieszczenie (1 zł za nocleg) w szkolnym schronisku wycieczkowym, wybudowanym staraniem troskliwego i o rozwój sportu wodnego dbającego Kuratorium Okręgu Szkolnego Wileńskiego. Świeże jeszcze deski ścian pachną puszcza, gdyż schronisko powstało w 1933 r.



Przejażdżka po jeziorze Necko i Rozpuda. Przewodnika mamy w osobie profesora miejscowego gimnazjum p. Michała Mościckiego.

Kochany Michale, profesorku! Wszystko Ci daruję, i to, żeś namówił mnie na sielawę augustowską prawiąc nam o niej przedziwne i długie historie, i to daruję, żeś ironicznie mówił o lasach naszych okolic nazywając je krzakami w porównaniu z Twymi puszczeniami, i daruję anegdotki okoliczne, z których zrywaliśmy boki, wreszcie

i to przebaczę, żeś dla nas ofiarnie zrezygnował z przedstawienia i bohatercko a jak lew odważnie użerał się ze służbą kolejową, wszystko — powtarzam — daruję dziękując serdecznie za przewodnictwo.

Jednej rzeczy przebaczyć nie mogę, mianowicie tej, żeś namówił nas na ciężką sześciuosobową łódź z potężnymi wiosłami pogardziwszy kajakiem.

To był podstęp, chytry, zdradziecki podstęp. Pół tysiąca kilometrów upłynęliśmy dotąd na „Wilku“ nie sapiąc tak nigdy, jak wówczas w tej ciężkiej „Sroce“, czy jak ona się tam nazywała.

Wiosłowałem wprawdzie w obie strony i teraz po raz drugi (poprzednio w Zelwianach) przekonałem się, że nie masz nad kajak. Lekkie to i zwinne, a ta „Sroka“ brzydactwo ciężka w ruchach przy manewrowaniu po wąskim, zarośniętym korytarzu wodnym.

Klnąc na czym świat stoi, że daliśmy się nabrać na tę pękatą kolebę, opuszczamy zwolna miasto kierując się na północ ku jez. Necko, mijając po drodze niskie, podmokłe łąki. Po kwadransie wpływamy na jezioro. Wraz z Rozpudą tworzy ono ku wschodowi pięknie wybruszony łuk, końcami zwrócony ku zachodowi, gdzie wpada do jez. Necko Zelwianka i ku północy, gdzie do jez. Rozpuda wpada rzeczka tej samej nazwy. Lustro wody wznosi się na tych jeziorach 122 m. n. p. m., a odprowadza je ku Biebrzy rzeka Netta, której wody tu i ówdzie, podobnie jak to ma miejsce na Czarnej Hańczy, zostały ujęte w kanał.

Półwysep zamknięty lukiem owych jezior jest silnie zalesiony, przechodząc nad rzeczką Rozpudą w dość niedwuznaczne bagna. Niskie brzegi jezior w niektórych miejscach są silnie zarośnięte szuwarami. Jedynie we wschodniej partii łuku wykazują one wyraźne wynio-

słości, które stanowią granicę między dwoma jeziorami a zbiornikiem Białego.

Wolno posuwamy się ciągnąc pracowicie ciężkimi wiosłami i mijając cały szereg łodzi i kajaków.

Niedziela. Mnóstwo osób używa przedpołudniowej przejażdżki zapuszczając się daleko ku północy, zachodowi lub przepływając na jez. Białe, gdzie mają się odbyć zawody.

— Sądząc po wietrze wygląda, że aura dopisze ich płachtom.

Rzeczywiście, wiatr głośno łomotał żaglami mijających nas łodzi, a i nas dość brawurowo smagał.

— Oby tylko nie wpadli z wiatru pod deszcz, bo za nadto czuć parę w powietrzu.

Mimo zefiru pot zalewa nam czoła. Nie wiadomo czy było to spowodowane upałem, czy ciężką łodzią dość, że zrzucamy powoli zbyteczne części garderoby.

— Ilu tu tych rybaków — rzekł jeden z trzech obserwatorów wskazując liczne łodzie ze sterczącymi w nich rybakami.

— Czy mają oni choć co łowić?

— Ho, ho — zaśmiał się nasz cicerone — jeszcze by!

I tu zaczął wylizywać takie mnóstwo nazw łacińskich i polskich na oznaczenie tego bogactwa ryb, że nie zdążyłem nawet zapisać.

— Jest niedziela — ciągnął dalej — bierze więc nieborak łódź, wędkę, kawał chleba i jazda na łowy. Sterczy ci na środku wody taki biedaczysko bywa i cały dzień. A jakim okiem spojrzeć na intruza, który (o nieostrożny, jak można!) zbyt blisko podjedzie do niego płosząc mu rybki. Nie radzę tego robić, bo może wyniknąć nawet skandal.

Teraz dopiero uprzytomniłem sobie, na co nie zwraca-

całem dotąd uwagi, że taki zahipnotyzowany melancholik sterczy jak mumia w łodzi, a spotykany tu i ówdzie na wodach w ciągu wycieczki, bardzo niechętnie udzielał informacji odzywając się z szybkością dwu słów na godzinę, by zniechęcić do dalszej rozmowy. I wygrywał.

Mijamy ich zatem ostrożnie z daleka kierując się ku północy, na jez. Rozpuda. Silne zbliżenie brzegów, zwiększenie zwierciadła wodnego i oto wpływamy na wąskie a wydłużone jezioro.

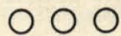
— Proponuję kąpiel.

— A ja proponuję zatopić tę starą, skrzypiącą balię i wracać na piechotę okólną drogą.

— O, to ci żeglarze słodkich wód.

— Siadaj do tych tonowych wiosła, chętnie zastąpię cię przy sterze — przekomarzamy się ze sobą.

Ostatecznie kąpiel doskonale wszystkim zrobiła. Tylko butelki wypełnione lemoniadą pustoszały i usypiały na dnie „Sroki“.



Krajobrazowo jeziora te przypominają poprzednio widziane zbiorniki, jednak każde z nich ma w sobie jakiś inny, swoisty urok. Rozpuda się nam podoba.

Zwolna wiosłując wpychamy łódź w ujście rzeki Rozpudy. Zbliżyły się nagle puszczańskie drzewa, zaszumiały i powiały na nas odorem z błot przyległych, które po krótkiej chwili otoczyły nas z obu stron.

Jedziemy w górę rzeki leniwie rozlanej i tak wolno płynącej, że puszcza drobne skrawki papieru, by ująć ruch prądu.

Stanęły nam przed oczyma wspomnienia poleskie. I tu oblegają nas szumiące szuwary i cuchnie błoto. Jak

tam. I meandry jak tam, nie tak pięknie jednak wykształcone.

Wspomnienia przerwał nam daleki, głuchy grzmot. Niebo zanosło się, powiał silny wiatr z półn.-zachodu. Poczuliśmy zapach burzy...

— Masz tobie, pędź bracie teraz na tej balii, a szybko, by uniknąć zlewy.

A balia na złość ledwie raczyła się zwrócić mimo uczciwych szturchańców wiosłami i flegmatycznie a wspaniałomyślnie ruszyła ku południowi.

Podwajamy energię i wpadłszy na jezioro zmuszamy usilnie łódź do ruchu jednostajnie przyspieszonego.

Ale widać pisane nam było na zakończenie eskapady zmoknąć solidnie. Załedwie wypłynęliśmy na środek Rozpudy, a tu jak szarpnie wiatr powierzchnię wody, że zsiniałe grzebienie fal gwałtem do środka łodzi wiadro wody wlały.

— Zmykajmy!

Spadł rześisty, ulewny deszcz tłukąc nas tym razem w plecy tak, że w minutę potem było nam obojętne czy przybić do brzegu, czy jechać dalej, „Sroka“ bowiem wypełniła się wodą i już teraz przypominała prawdziwą balię z pływającymi w niej gęsiorami.

Z boku pod ścianą lasu, widzę, zmyka mały kajaczek, raz, dwa, raz, dwa, zniknął. Dwóch rybaków-melancholików dopiero ulewa uleczyła czasowo z manii czatowania. Odwrócili na brzegu łódź do góry dnem i wleźli pod nią ratując w ten sposób swój honor.

— Do brzegu! — ryknął jeden z nas przez wiatr.

Ale łatwiej ryczeć, niż zamiar wykonać. Jak długo jechaliśmy jeziorem na południe, wiatr grzmocił nas w plecy i pchał do przodu huśtając łodzią w przód i w tył. Z chwilą, gdyśmy skręcili na wschód, w stronę

występującego cypla, grzmotnął nas z lewa a „Sroka“ (dobrze jej tak) napiła się znowu parę dobrych litrów wody i zachwiała się tym razem bardzo mocno w bok, że przygotowani byliśmy już do pływania. Złagodziwszy kurs bardziej skośną drogą dobiliśmy do brzegu, a raczej fala tak mocno wbiła „Srokę“ w piach, że po przejściu burzy, w trójkę nie mogliśmy długo ruszyć jej z miejsca.

Były to nasze ostatnie chwile spędzone na wodzie.

○ ○ ○

Rozsłocił się świat. Rozpoczęła się taka nasza, swojska, polska trzydniówka.

Drobniutki kapuśniaczek ćmił aż miło i dzwonił jęcząco a monotennie po starych, dziurawych rynnach, wywołując ziewanie i sen u starców, przekorę u młodych, zły humor u nerwowych, łamanie u reumatyków, a bezsilną wściekłość u kajakowców. Tak jest — wściekłość. Zostały oto jeszcze dwa dni do odjazdu, ale wobec tak powabnie zapowiadającej się aury daliśmy nura... na stację.

Zaczęła się przykra, lecz konieczna czynność pakowania zmoczonego, zmarzniętego „Wilka“.

Smutnie spojrzal na nas w momencie załadowywania do wagonu jak stary, wierny a odrzucony pies, jakby żałował do nas, że już nam niepotrzebny.

I w ostatniej chwili, gdy drzwi wagonu zamykały się za nim, błysnął nam w oczach czerwony i wyraźny na białym tle mokry napis „Wilk“.

○ ○ ○

Pozostaliśmy sami ze swymi myślami. Oto już po feriach i po wycieczce.

Mnożą się wspomnienia...

A w plecaku tkwią klisze fotograficzne. Te nieraz przypomną minione chwile, wspólnie z mapą i notatnikiem. Przypomną dole i niedole w kajaku spędzone.

Do widzenia! Zobaczmy się może jeszcze, puszczając wy, jeziora! Do widzenia!

○ ○ ○



86501

Na polskich szlakach wędrując

Dybczyński Tadeusz. TAJEMNICE ŁYSO- GÓR. Opowieść krajoznawcza o gó- rach Świętokrzyskich z licznymi ilu- stracjami	Zł --
Grodecki Roman. Lepsi Kazimierz. Feld- man Józef. KRAKÓW I ZIEMIA KRA- KOWSKA. 20 ilustracji na osobnych planszach kredowych. Str. 288	„ 4 -
Górski Karol. POMORZE WCZORAJ I DZIŚ. Str. 184 i 10 ilustracji na oddzielnych wkładkach wklejonych	„ 3 -
Makuszyński Kornel. WIELKA BRAMA. Po- wieść o Gdyni i o Morzu Polskim. Str. 256	„ 3:50
Papée Stefan. WIELKOPOLSKA WCZORAJ I DZIŚ. Str. 234+6 nlb. oraz 20 ilu- stracji na osobnych planszach	„ 3:50
Ossendowski Antoni Ferdynand. W POL- SKIEJ DŻUNGLI. Powieść o Polesiu. Str. 247+1 nlb.	„ 3:50
Zaruski Mariusz. NA BEZDROŻACH TA- TRZAŃSKICH. Wrażenia, wycieczki i opisy. Wydanie drugie z licznymi ilustracjami. Str. 272	„ 4:30

najlepiej

pokażą piękno naszej ziemi te książki,

wydane przez

**PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO KSIĄŻEK SZKOLNYCH
WE LWOWIE**

